TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 44 (1038)
30 PAŹDZIERNIKA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

LUCJUSZ WŁODKOWSKI
nie każdy musi kochać komendanta...

STR. 6-7

„nie taki diabeł straszny..."
rozmowa z HENRYKIEM CZYŻEM

str. 4

W Polsce Santos znany jest na tej samej zasadzie, na jakiej w Anglii znane kiedyś było Zabrze. W dzielnicy YABAQUARA mieszczą się tam blisko siebie dwa boiska piłkarskie. Estadio da Portuguesa Santista oraz Estadio do Santos Futebol Clube.

Pierwsze oddzielone jest na ulicy zielonym murem, pod którym baby sprzedają gumę do żucia. Jego niewielkie trybuny i parę niskich rzędów kamiennych mogą od biedy pomieścić dziesięć tysięcy widzów. Płyta wydaje się zaniedbana — wyboista, zachwaszczona, porosła grubą, dawno nie strzyżoną trawą. Pomiędzy płytą a widownią postawiono litą konstrukcję aluminiową, która opleciona jest siatką i wyposażona u góry w stalowe zęby. W ten sposób chroni się w Ameryce sędziego i zawodników przed zemstą tłumu, a piłkę przed zbyt częstym opuszczaniem boiska. Tak czy owak, zdarza się podobno, że ta ostatnia, kopnięta z rozmachem, ląduje na jezdni wśród rozpędzonych aut.

Co się tyczy drugiego obiektu — ma podobnie zaniedbaną nawierzchnię i podobną, najeżoną kolcami siatkę ochronną. Od zewnątrz jego szary, jednostajny mur frontowy przywodzi na myśl wymarłą fabrykę — otwarte okna zioną ciszą i pustką; w pokojach, gdzie mieszczą się zapewne biura, szatnie i natryski, nie widać w zwykły dzień śladu człowieka. Krótko mówiąc — obliczony na trzydziestotysięczną widownię Estadio do Santos Futebol Clube byłby w brazylijskiej, a nawet europejskiej skali czymś całkiem przeciętnym, gdyby nie fakt, że właśnie tutaj grał wiernie przez kilkanaście lat legendarny Król Pele.

SANTOS, ULICA ŚWIĘTOJAŃSKA

ANDRZEJ MAKOWIECKI

str. 8

Tadeusz Gicgier

DWA ORLE GNIAZDA

Był ostatni dzień lipca 1946 roku. Franek Szydlak, chłopak z przyzamkowej osady, który od pierwszych powojennych dni przylgnął do niedzickiego zamku — zobaczył zmierzającą ku zamkowej bramie niecodzienną wycieczkę. Jakiś nieznany mu ceper szedł z miejscowym sołtysem, wopistą i milicjantem. „Oho, szykuje się coś niezwykłego" — pomyślał Franek. Poprosili, by sprowadził do nich leśniczego (zamek po okresie bezpańskim należał wtedy do Nadleśnictwa), a gdy ten się zjawił, pokazali mu jakieś papiery. Franek posłyszał, jak mówili o zezwoleniu na odkopanie testamentu.

Najpierw wyważyli kamienny próg bramy zamku górnego. Potem zaczęli kopać pod tym progiem. W pewnej chwili ostrze szpadla zgrzytnęło natrafiwszy na jakiś twardy przedmiot. Była to ołowiana rura długości około 20 centymetrów, zaklepana na końcach i zalutowana ołowiem. Po wydłubaniu ołowiu nieznajomy wydobył z rury pęk rzemieni powiązanych węzłami. Do rzemieni przymocowane były złote blaszki.

— To właśnie jest to, czego szukam — powiedział ceper. — Z tych rzemieni można się dowiedzieć, gdzie zostały ukryte skarby Inków. Tylko kto im odczyta to indiańskie pismo?

Franek dowiedział się potem, że ceper to niejaki Andrzej Benesz, mieszkający w Bochni koło Krakowa. A rzemienie z węzłami i blaszkami to tak zwane „quipu" czyli znaki liczb i jakości, jakimi posługiwali się niegdyś Indianie peruwiańscy.

★

W książce prof. Alfreda Majewskiego „Dwa zamki pienińskie", której autor zajmuje się od wielu lat historią i rekonstrukcją zamku w Niedzicy, przeczytałem co następuje:

„Historia ta ma swój początek w połowie XVIII w., kiedy to Sebastian Berzeviczy, potomek węgierskiego rodu Berzeviczych, którzy z początkiem XIV w. zbudowali zamek w Niedzicy, wyjechał w poszukiwaniu majątku, a może i przygód do Ameryki Południowej. Jakie były koleje jego losów na kontynencie amerykańskim — nie wiadomo. Wiadomo tylko, że ożenił się w Peru z Indianką szlacheckiego rodu, z którą miał córkę zwaną Umina.

Około 1781 r. wybucha powstanie Inków peruwiańskich pod wodzą Indianina Tupac Amaru przeciwko ciemiężcom hiszpańskim. Umina poślubia w tym czasie bratanka Tupac Amaru, noszącego to samo imię. Powstanie, które trwało pięć lat, upada, a wódz powstania Tupac Amaru zostaje stracony przez Hiszpanów. Jego bratanek, a mąż Uminy, zostaje jedynym pretendentem do tronu Inków. Ucieka on, zabierając część skarbu Inków, razem z żoną i teściem Sebastianem oraz innymi wodzami indiańskimi do Włoch, gdzie w tajemniczych okolicznościach zostaje zasztyletowany. Sebastian Berzeviczy w obawie o życie córki i wnuka, których prześladują Hiszpanie, ucieka razem z nimi do Węgier i postanawia zamieszkać w zamku niedzickim.

Przebywają w nim bardzo krótko, bo i tu dosięga ich mściwa ręka Hiszpanów. Umina, córka Sebastiana Berzeviczy, ginie zasztyletowana na zamku niedzickim i zostaje pochowana w krypcie pod kaplicą zamkową. Sebastian Berzeviczy, chcąc ratować życie syna Uminy, wzywa swego bratanka Wacława Benesz-Berzeviczy, mieszkającego w Morawskim Krumłowie, i w obecności przybyłych z Sebastianem wodzów indiańskich, którzy są nazywani Radą Emisariuszy Inków, zostaje spisany na zamku niedzickim w dniu 21 czerwca 1797 r. akt adopcji syna Uminy, jednorocznego Antonia Tupac Amaru, przez Wacława Benesz-Berzeviczy.

Dalszy ciąg na str. 10

REWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA NA ŁAMACH ŁÓDZKIEJ PRASY

Wydarzenia rewolucyjne w Rosji, zapoczątkowane przewrotem burżuazyjno-demokratycznym w początkach marca 1917 roku, stały się przedmiotem znacznego zainteresowania ówczesnej prasy łódzkiej, która poświęcała im sporo uwag i komentarzy.

„Gazeta Łódzka", powiadamiając swoich czytelników o zajściach w Petersburgu, sugerowała im, że w upadku caratu maczał palce ambasador angielski w Rosji — Buchanan. Wobec tego, że sprawa nie zakończyła się na przewrocie pałacowym, autor komentarza uważał za stosowne zaznaczyć, że ambasador zapewne nie dążył do takiego przewrotu, „który równa się porażeniu rdzenia pacierzowego Rosji". Zdaniem dziennikarza „Koalicja w tej sprawie strzelała, ale Rosja kule nosiła".

W związku z wydarzeniami rosyjskimi obie gazety łódzkie szczególnie interesowały się zagadnieniem przyszłych losów naszego kraju. Pierwszy podjął ten temat „Nowy Kurier Łódzki", między innymi pisząc: „Obecnie do głosu w sprawie polskiej przyjdzie Duma, która wielokrotnie zastrzegła sobie tu prawo ostatecznej decyzji, względnie te żywioły Dumy, które przeprowadziły zwycięską rewolucję. Plan uregulowania stosunku do Polski przesuwa się tedy w ręce liberalnych żywiołów rosyjskich, przede wszystkim kadetów. Ponieważ żywioły te od początku twardo stoją na gruncie przyznania Polsce autonomii, przeto perspektywa utorowania w rosyjskich kołach rządowych drogi do uznania prawa Polski do samodzielnego bytu znacznie się zmniejszyła".

Współpracująca z niemieckim okupantem „Gazeta Łódzka" wyrażała przekonanie, że zmiana stosunków politycznych w Rosji w niczym nie zmieni „frontu czynników państwowo-twórczych w Polsce", tj. tej części społeczeństwa polskiego, która przyszłość naszego kraju wiązała z państwami centralnymi. „Niczego na przyszłość nie wykluczając, to jedno musimy ustalić: jesteśmy odrębnym od Rosji organizmem państwowym. Dalej pismo stara się wmówić czytelnikom, że interes naszej ojczyzny wymaga w pierwszym rzędzie zorganizowania polskich sił zbrojnych, które o ile zajdzie tego potrzeba „będą walczyć... z Rosją". Nie dlatego, jakobyśmy pragnęli przyczynić się do obalenia demokracji rosyjskiej — zastrzega się przezornie autor artykułu — ale dlatego po prostu, że w danej sytuacji wymaga tego polska racja stanu".

Wykładnikiem pojęcia polskiej racji stanu było oświadczenie Rady Stanu Królestwa Polskiego, stanowiące odpowiedź na odezwę Rządu Tymczasowego, a zamieszczone w „Nowym Kurierze Łódzkim". „Z zadowoleniem stwierdza Rada Stanu fakt uznania przez nowy rząd rosyjski niepodległości Polski. Ale jednocześnie podkreśla, że wiekowy spór polsko-rosyjski o rozległe terytoria leżące pomiędzy etnograficzną Polską a Rosją, a od wieków z losem Polski związane, przez odezwę rządu rosyjskiego nie został zakończony (...) Los tych ziem powinien być rozstrzygnięty w myśl mocarstwowych interesów niepodległej Polski (...)". Otóż te „mocarstwowe interesy" nakazywały Radzie Stanu rezygnację z rdzennie polskich ziem zachodnich, a zakładanie aneksji obszarów niepolskich na wschodzie. Zbliżony pogląd na stosunek Polski do Rosji wyrażała „Gazeta Łódzka". Proponowała ona, aby w zamian za ustępstwa terytorialne na rzecz Polski na rubieżach zachodnich Rosja rozwinęła swoją ekspansję w kierunku wschodnim.

W miarę pogłębiania się rewolucji rosyjskiej wzrastało zainteresowanie prasy łódzkiej wewnętrznymi problemami Rosji. Powrót Lenina do kraju wzmógł aktywność rad delegatów żołnierskich i robotniczych. „Doprowadziło to do rozdźwięku między radą robotniczą a rządem prowizorycznym, który się z każdym dniem powiększa" — stwierdzała z zaniepokojeniem „Gazeta Łódzka". Mimo wciągnięcia mienszewików do współpracy z rządem Kiereńskiego, radykalizacja mas rosyjskich czyniła szybkie postępy. „Obecnie bolszewicy nieustannie wzrastają w siły, wymusili nowe wybory do petersburskich delegatów robotniczych i wkrótce mieć będą większość w Radzie Żołnierzy — przewidywała wspomniana gazeta. — Zapał wojenny, podsycany z takim trudem przez Kiereńskiego, zaczyna gasnąć (...) Zbliża się nowe przesilenie".

W czerwcu obie gazety łódzkie zamieściły po raz pierwszy wypowiedź Lenina, w której to przeciwstawiał się nowej ofensywie rosyjskiej. „Rosja rewolucyjna uznała już zasadnicze prawo narodu polskiego do samodzielności państwowej, toteż armia rosyjska nie ma na ziemiach polskich nic do czynienia" — oznajmił przywódca bolszewików. Prasa łódzka podała tę wypowiedź bez żadnego komentarza.

Im dłużej trwała rewolucja, zbliżając się ku przewrotowi socjalistycznemu, tym mocniej gazety łódzkie akcentowały swe klasowe, kapitalistyczne stanowisko. „Jak po upadku Burbonów, tak i w Rosji przychodzą do głosu i znaczenia masy ciemne, nie wyszkolone w poczuciu obywatelskim, bez instynktów państwowych — pisała z ubolewaniem „Gazeta Łódzka". — Dziś za Leninem i bolszewikami stoi wszystko, co jest kulą u nogi rewolucji politycznej, która gdyby jej było danem przybrać polityczną postać, wyprowadziłaby Rosję z katastrofy w jaką wciągnęła ją wojna (...) Lenin et consortes — to już pierwsza przygrywka do zupełnie socjalistycznego państwa, które znieść ma ustrój kapitalistyczny, upaństwowić środki produkcji (...) Wzdrygają się przed tym prądem w dzisiejszych warunkach wprost zgubnym nawet minimaliści socjalistyczni, drży cała Rosja liberalna".

Wieść o wybuchu rewolucji październikowej w Rosji redakcja „Gazety Łódzkiej" skwitowała najpierw niewielką notatką. „Rosja we władzy maksymalistów. Lenin proklamuje program nowego rządu, przewidujący jako punkt główny natychmiastowy sprawiedliwy pokój". Dopiero po tygodniu pismo dało szerszą ocenę wydarzeń październikowych. „Zwycięstwo maksymalizmu musi być pożądanym skróceniem całego procesu fermentacyjnego dla tych wszystkich, którzy nie wierzą w trwałość rosyjskiego przewrotu i którzy razem z takim czy innym kandydatem na nowego cara oczekują tylko na moment, kiedy niedorzeczność dokonywanych obecnie eksperymentów stanie się już tak powszechnie oczywista i niemożliwa do zniesienia, że restauracja władzy monarchistycznej, a nawet absolutyzm będzie powitany jako wybawienie".

Późniejsze komentarze redakcyjne w prasie łódzkiej są już bardzo powściągliwe. „Jakkolwiek rządów Lenina i Trockiego nikt nie bierze na serio i zachodzi jeszcze kwestia czy maksymaliści zdołają się utrzymać przy władzy — pisał „Nowy Kurier Łódzki" — to jednak hasła pokojowe wywieszone przez nich są jakby świtaniem nowej ery w stosunkach międzynarodowych". W podobnie złagodzonym tonie brzmiała wypowiedź „Gazety Łódzkiej". „Z chaosu najsprzeczniejszych wiadomości i miotanych celowo oszczerstw zaczyna wyłaniać się właściwy sens przewrotu bolszewickiego. Sensem tym jest pragnienie pokoju, jakie ogarnęło ogół rosyjskiego ludu. Z tego pragnienia zaczerpnęła rewolucja swą siłę; zaspokojenie tego pragnienia jest celem rewolucji. Rozumie to Lenin i jego towarzysze".

Na podstawie przytoczonych tutaj fragmentów komentarzy prasowych można sądzić, że redaktorzy łódzkich gazet niezbyt zdawali sobie sprawę z wagi zachodzących w Rosji przemian. Dojście do władzy bolszewików traktowali — podobnie jak wielu burżuazyjnych polityków — jako mało znaczący epizod, który rychło przeminie.

WACŁAW PAWLAK

NOTATKI JESIENNE

Swojego czasu nosiłem się z zamiarem napisania powieści o młodym Reymoncie. Akcja powieści miała być doprowadzona do roku 1893, kiedy to Reymont rzuca ostatecznie pracę na kolei i mając w kieszeni 3 ruble i pięćdziesiąt kopiejek udaje się do Warszawy, gdzie zaczyna nowy rozdział swojego życia. Biografia Reymonta jest tak bogata w zaskakujące niespodzianki i przygody, że usprawiedliwia tytuł, jaki chciałem nadać powieści: „Niezwykłe przypadki kawalera Reymonta". Wiadomo, ile jest różnych ubarwień życiorysu Reymonta. Adam Grzymała-Siedlecki w „Niezapomnianych ludziach w dniu swoim powszednim" szkic o pisarzu opatruje tytułem „Fantastyka żywota reymontowskiego". Przed czterema laty Stefan Talikowski, brat cioteczny żony Reymonta Aurelii w książce „Reymont w kręgu rodzinnym" (Wydawnictwo Łódzkie) chciał trochę powalczyć z niektórymi obiegowymi już opiniami o pisarzu. To, co Reymont zmyślał lub z czego się bawił, niektórzy, podziwiając jego swadę, brali za prawdę. Talikowski między innymi przytacza relację Alfreda Wysockiego, późniejszego posła polskiego w Sztokholmie, ze spotkania z Reymontem, które odbyło się w kawiarni Schmidta w Krakowie. Reymont miał wtedy 34 lata. Upływało osiem lat od chwili, kiedy z Rogowa, Krosnowy i Lipiec uciekał w daleki świat. Nie drżał o chleb powszedni, albowiem spokojne bytowanie zapewniło mu odszkodowanie, jakie otrzymał za wypadek od Dyrekcji Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. I co najważniejsze, był wtedy autorem „Pielgrzymki do Jasnej Góry", „Komediantki", „Fermentów", „Lili" i „Ziemi obiecanej". „...pewnego poobiedzia (wspomina Wysocki) zjawił się tam, prowadzony przez pielęgniarza pod rękę, jakiś młody, bladawy lecz doskonale ubrany pan. Z miną lorda zamówił kawę mrożoną, uchodzącą w naszych oczach za szczyt rozrzutności i pudełko egipskich. Był to Reymont". Wejście na scenę bardzo efektowne i dalszy ciąg spotkania odbywał się również w podobnym klimacie. Oto znowu Wysocki: „Nie pił i nie palił, za to u Schmidta stawiał sobie i nam gęste kolejki i opowiadał o swym życiu. Było ono jak z bajki. Zaczęło się od pasania boso krowy. Potem przyszła szkoła i praca zarobkowa. Był kolejno czeladnikiem krawieckim, pomocnikiem geometry, aktorem, urzędnikiem kolejowym, mnichem i znów kolejarzem, ciągle piszącym liche wiersze po kryjomu, przy świeczce kupionej za cenę kolacji. Wszystkie te przeobrażenia Reymonta widzieliśmy przed sobą, bo opowiadał o nich z bajeczną ruchliwością maski, rąk, oczu i odgrywał te role, z których każda miała swój wyraz i swój odmienny charakter..."

Ten fragment wspomnień Wysockiego mógł stanowić konspekt mojej powieści. Ale mnie chodziło o wykorzystanie jeszcze innych źródeł. Przecież można było odszukać ludzi, którzy znali osobiście Reymonta, lub pamiętali opowieści o nim swoich ojców i dziadów. W roku 1961 pisano o Józefie Świderku z Przyłęku Dużego, który miał wówczas siedemdziesiąt lat i pamiętał wiele szczegółów z życia Reymonta, jakie były jego zwyczaje, jak się ubierał, ile zarabiał na kolei. W Kobielach Wielkich spotkałem człowieka, który do dziś nie może darować swojej rodzinie, że z ich winy nie został chrześniakiem Reymonta. Ojciec mojego rozmówcy pracował razem z Reymontem na kolei, sprawa była omówiona (a może i opita), ale rodzina z pewną pogardą odrzuciła kandydaturę człowieka, który zarabiał niewiele ponad siedem rubli miesięcznie. Otrzymałem kiedyś list od syna leśniczego, który w latach 1895—1903 pracował w majątku Kobiele Wielkie. Autor listu pisze, że doskonale pamięta, jak jego ojciec opowiadał o różnych zdarzeniach, które miały miejsce we wsi i we dworze Kazimierza Tymowskiego, właściciela tamtejszego majątku. Pamiętał również rozmowy starszych mieszkańców Kobiel na temat stosunków, jakie panowały pomiędzy dworem a chłopami. Na podstawie tych wspomnień autor listu wyjaśnia, jakie to wydarzenia z życia wsi odbiły się potem w „Chłopach". Pojawia się w tej relacji postać starego wygnańca, powstańca z 63 roku, który na starość powrócił z wygnania i osiadł w parafii Kobiele Wielkie „na łaskawym chlebie". Ów powstaniec, ksiądz, miał być wedle opinii autora listu pierwowzorem postaci Rocha w „Chłopach". Autor kończy swoją opowieść wnioskiem, że tło powieści Reymont wziął z życia Kobiel Wielkich, zaś nazwiska osób, folklor z księstwa łowickiego — „dało to jednak piękną całość".

Oczywiście, nie wykorzystaną jeszcze kopalnią są same Lipce, które również odwiedzałem. Poznałem wielu członków zespołu świetlicowego, którzy brali udział w wystawianym często widowisku „Wesele Boryny". Niektórzy z nich odeszli już na zawsze, jak Helena Pintara, która grała rolę Dominikowej w przedstawieniu i tak gorąco wykłócała się w telewizji, żeby na zakończenie serialu „Chłopi" zaprezentować również i ich, lipieckie widowisko. W Lipcach są ludzie, którzy pielęgnują pamięć o pisarzu. To nauczyciele z zasłużoną dla oświaty i kultury Marią Nowicką, współtowarzyszką Tadeusza Kwaśniewskiego, autora scenariusza do „Wesela Boryny", który zginął w czasie wojny, i dyrektorem szkoły Stanisławem Chorążką, to działacze, chłopi-aktorzy, członkowie zespołu świetlicowego, wreszcie młodzież szkolna.

W roku 1967 obchodzono w Lipcach setną rocznicę urodzin Reymonta i 35-lecie istnienia zespołu amatorskiego. Byłem tam, odnowiłem stare znajomości. Przy okazji spotkałem się z niektórymi członkami rodziny Reymonta. Była tam m. in. wnuczka Anieli, jednej z sióstr pisarza, Barbara Ogrodowska z Gostynina. Ona to opowiadała o pewnej fotografii, na której widać Reymonta w otoczeniu rodziny. Zdjęcie robione było w lecie 1925 roku, w Wolbórce. Barbara miała wtedy cztery lata.

Przed pięcioma laty Leszek Prorok (ukazał się właśnie nakładem „Czytelnika" świetny tom opowiadań Proroka „Tsunami") zwrócił uwagę na stan domu w Wolbórce. Właścicielką dawnej „osady Jakubów", położonej we wsi Prażki, zwanej wśród rodziny Reymonta i znajomych Wolbórką, gdzie Reymont napisał wiele utworów, po śmierci ojca pisarza, Józefa Rejmenta w 1904 roku, została najmłodsza siostra autora „Chłopów", Helena. Po niej stary dom przeszedł w posiadanie jej dzieci: Zofii i Jana Załęskich. Dzisiejsza budowla to nie ten sam dom, przed którym pisarz się fotografował. Stary został rozebrany, a w pobliżu, około roku 1906 wybudowano nowy, drewniany.

I oto o ten dom, pełen pamiątek i cennych fotografii, i o ogród, w którym rosną jeszcze drzewa sadzone ręką Reymonta, dwie topole, które zasadziła matka pisarza (nie wiem, czy dzisiaj jeszcze stoją), o stare wierzby, o zachowanie i pielęgnowanie tego obiektu, a może wykorzystanie go i lepsze zagospodarowanie, a przede wszystkim o właściwy stosunek do tradycji występują pisarze i rodzina Reymonta.

No cóż, moja powieść o Reymoncie jeszcze nie powstała. Jednak po przeszło dziesięciu latach zadaję sobie pytanie: czy naprawdę zrezygnowałem z pracy nad tą książką? I odpowiadam: nie! Nie zarzuciłem tej tematyki. Chociaż wiele zmieniło się w Lipcach od czasu Reymonta i ówczesne aktualia zwietrzały, nawet krajobrazy są inne, Lipce pozostały te same, wciąż symboliczne. Jedną ze swoich książek dedykowałem „Lipcom wsi Reymonta". Lipce to także moja rodzinna wieś, chociaż na cmentarzu lipieckim nie spoczywają prochy, jak to nazywa Stanisław Czernik, moich antenatów. Lipce można znaleźć także w książkach Piętaka, Czernika, Mortona, Kawalca, mimo że piszą oni o wsi sandomierskiej, opatowskiej, pińczowskiej, rzeszowskiej.

Reymont żegnał się z pracą na kolei jesienią. Od opisu jesieni zaczynają się „Chłopi". Może dlatego owe jesienne dni, nie zawsze pogodne i ciche, i nie zawsze „upajające słodkością w powietrzu przymglonym kurzawą słoneczną", ale czasami takie właśnie, jak je Reymont przedstawił, skłoniły mnie do powyższego wspomnienia.

P.S. Już po napisaniu tych notatek dowiedziałem się z prasy, że w dniu 15 października został położony kamień węgielny pod budowę pomnika Reymonta.

TADEUSZ PAPIER

UPORZĄDKOWANA BIOGRAFIA REYMONTA

O Reymoncie pisano i pisze się wiele. Jednakże jak to zwykle bywa w miarę okazjonalnie, niejako rocznicowo, na zasadzie przypominania, odkrywania nieznanych biograficznych przede wszystkim ciekawostek z życia autora „Chłopów" Wszystko to oczywiście dla szerokich rzesz czytelniczych. Bo prace monograficzne, analizujące poszczególne okresy jego twórczości, omawiające niektóre jego utwory adresowane są jak zwykle do wąskiego kręgu specjalistów. Ale stąd też czytelnik, ten zwyczajny, wciąż skazany jest na kilka całościowych ujęć biograficznych skreślonych w oparciu o znane już materiały. Tyle tylko, że akurat w przypadku Reymonta, mimo niesłabnącej jego popularności czytelniczej, właśnie te materiały biograficzne okazują się dziś już nie wystarczające i na dobra sprawę należałoby je poddać rewizji i uzupełnieniom. Tym bardziej, że piszący o autorze „Ziemi obiecanej" korzystają ze znanych i publikowanych materiałów, niechętnie oddając się szperactwu po archiwalnej spuściźnie po pisarzu.

Ale może właśnie dlatego tak wiele legend narosło wokół jego osobistej jak i pisarskiej biografii, tak wiele mylnych podaje się z jego życiorysu faktów nie znajdujących potwierdzenia w zachowanej dokumentacji. Zresztą sam pisarz zadbał o to, aby biografia jego dla przyszłych badaczy była pogmatwaną, pełną niedopowiedzeń, aby chcąc cokolwiek o nim napisać, trzeba się było po prostu domyślać, dokomponowywać, fantazjować. Oczywiście naukowcy nie lubią fantazjowania w nadmiarze i jeśli mają do czynienia z przysłowiowymi białymi plamami, wolą je pomijać milczeniem. Ale to znowu powoduje, iż portret pisarza jest niepełny, a motywacje twórcze jakże często mylnie interpretowane. Stąd też właśnie w przypadku Reymonta mamy do czynienia z różnymi i jakże odmiennymi biografiami, ujęciami interpretacyjnymi. Tylko czy rzeczywiście można w oparciu o zachowane materiały po pisarzu skreślić w niczym niepodważalną jednorodną biomonografię pozwalającą w sposób jednoznaczny przedstawić i zinterpretować zrówno biografię osobistą jak i twórczą pisarza? A równocześnie czy w oparciu o zachowane materiały archiwalne jak i oceny osób trzecich skreślone przeważnie w formie zapisków wspomnieniowych można odtworzyć w sposób jednoznaczny pełny portret osobisty i twórczy artysty?

Pytania te nasuwają się przy lekturze książki Józefa Rurawskiego „Władysław Reymont" wydanej przez Wiedzę Powszechną w serii „Profile". W założeniach bowiem serii, książki stanowić mają reprezentację biomonograficzną czołowych pisarzy polskich i obcych i służyć mają jako pomoc przede wszystkim nauczycielom oraz ludziom interesującym się historią literatury. Tak w każdym razie pomyślane były książki o Żeromskim, Fredrze, Nałkowskiej. Ich autorzy nie stawiali znaków zapytania, nie pozostawiali żadnych białych plam, starając się wszystko powiedzieć do końca, nie budząc u czytelnika najmniejszych wątpliwości. A tutaj nagle mamy do czynienia z książką, gdzie autor zapoznawszy się z całym dostępnym mu materiałem co i raz stawia znaki zapytania.

Józef Rurawski jest naukowcem, a książka ta stanowi nieco zmieniony wariant pracy habilitacyjnej. A przecież wiemy, że większość prac naukowych nie uznaje najmniejszych wątpliwości, że ich autorzy zawsze starają się przemawiać w sposób autorytatywny i odkrywczy. Rurawski daleki jest od tego. Owszem wdaje się i to w ostre polemiki z dotychczasowymi biografami i monografistami autora „Komediantki", dając swoją rzetelną interpretację całej spuściznę pisarskiej Reymonta. Ale też pozostawia wiele białych plam, stawia sporą ilość znaków zapytania, dzieli się swoimi wątpliwościami, nie bez racji sugerując, iż mimo że o Reymoncie powiedziano i napisano już niesłychanie wiele, jeszcze wiele do zrobienia pozostało.

I jeśli wierzyć autorowi tej biomonografii, Reymont przez całe swoje życie dokonywał nieustannych mistyfikacji, tworzył wokół siebie mity, w które zresztą później sam szczerze wierzył. I trzeba sobie dziś zadawać nie lada trudu aby to wszystko odkłamać, aby zaprezentowac prawdziwy wizerunek pisarza. Jedno jest pewne, Reymont jak większość wielkich pisarzy, przez całe życie odczuwał samotność, odczuwał przed nią ogromny lęk. Już w 1893 roku odnotowywał w jednym z listów gotowy aforyzm — wyznanie wiary dopiero początkującego pisarza: „My potrafimy karmić dusze milionów własnymi sercami, ale sami zawsze na próżno łakniemy odrobiny szczęścia".

Ale też od początku Reymont wierzył w swój pisarski talent, od początku był przeświadczony, iż jako pisarz rzeczywiście ma coś do powiedzenia. Może dlatego i jego marzenia o byciu aktorem czy też jego chęci wstąpienia do zakonu, stanowiły swoistego rodzaju mity, które pisarz ten roztaczał wokół siebie i tylko dla siebie w momentach chwilowych załamań i niewiary w swoje pisarskie posłannictwo. Owszem wierzył jeszcze przez wiele lat i pragnął aby i inni w to uwierzyli, iż jest bardziej poetą niż prozaikiem.

Rurawski nieustannie tropi najmniejsze choćby ślady osobistej biografii Reymonta poprzez nie tłumacząc zawiłe procesy twórcze pisarza. Niejednokrotnie wdaje się w ostre polemiki z dotychczasowymi ujęciami i interpretacjami, wykazując jak mylnymi są one w ogólnej ocenie spuścizny pisarskiej autora „Wampira". Udowadnia przy tym, iż do pisarstwa tego nie ma jednego klucza interpretacyjnego, jako że pisarz ten jak wielu innych był osobowością niesłychanie skomplikowaną, pełną wewnętrznych sprzeczności. Nie daje też jego portretu monumentalnego, nie czyni zeń geniusza. Prezentuje go jako człowieka najbardziej chyba skłóconego ze samym sobą, wiecznego pretensji i animozji do świata i ludzi. Ale może przez to właśnie piszącego w ten a nie inny sposób, podejmującego tę a nie inną problematykę. A mimo to prezentuje portret Reymonta pasjonujący i żywy. I to nawet wówczas, gdy wdaje się w drobiazgowe analizy poszczególnych utworów pisarza. Ale też nie daje ostatecznych ocen jak i wyjaśnień, nie bez racji sugerując, iż jeszcze wiele pozostaje nieznanych stron zarówno w biografii osobistej jak i twórczej Reymonta.

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

Józef Rurawski: Władysław Reymont. Wiedza Powszechna. Warszawa 1977, s. 484 zł 60.—.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

Foto: Archiwum

EUGENIUSZ IWANICKI

PROCENTY OD KAPITAŁU

Województwo skierniewickie istnieje już dwa lata. Zajmuje powierzchnię 43.957 km kw. z czego na użytki rolne przypada 79,3 proc. Ludności jest ok. 400 tysięcy. Na terenie województwa znajduje się 8 miast: część z nich należała niegdyś do woj. warszawskiego, część do łódzkiego. Same Skierniewice, choć znajdowały się na obszarze byłego woj. łódzkiego, zawsze ulegały ciążeniu w stronę Warszawy. Nie było to miasto o wielkich tradycjach kulturalnych, nie posiadało także obiektów takich jak teatr czy dom kultury. Właściwie obok kin jedyną placówką prowadzącą szerszą działalność kulturalną była biblioteka. Jeszcze gorzej było z kadrą: statystycznie Skierniewice zajmowały jedno z ostatnich miejsc w kraju.

SYTUACJA

Powołanie województwa stworzyło szansę i warunki rozwoju kultury. Sytuacja, jaką zastano, była trudna. Warunki lokalowe placówek kulturalnych nie były najlepsze, ich rozmieszczenie na obszarze województwa, a także wyposażenie budziły poważny niepokój u nowych władz. Zresztą jeszcze i dziś są środowiska wiejskie, częstokroć duże, które są całkowicie pozbawione kontaktu z klubem, świetlicą czy biblioteką. Ten stan rzeczy od początku znalazł się w centrum zainteresowania władz partyjnych i administracyjnych nowego województwa. Należało rozpocząć atak frontalny w dwóch kierunkach: stworzyć bazę i właściwie zorganizować kadrę fachowych pracowników.

Na terenie woj. skierniewickiego prowadzi działalność 380 placówek kulturalno-oświatowych: bibliotek — 149, domów kultury i poradni — 18, Gminnych Ośrodków Kultury — 3, klubów i świetlic — 165, muzeów — 7, szkół artystycznych — 3, społecznych ognisk artystycznych — 8 i kin — 27. Najwięcej tych placówek znajduje się w rejonie Łowicza, Żyrardowa, Sochaczewa i Białej Rawskiej, najmniej — w gminach Rybno, Nowa Sucha, Baranów, Jaktorów, Radziejowice, Żabia Wola, Dmobin, Lipce, Godzianów i Rodów. W sytuacji, gdzie przeważa rolnictwo (choć województwo posiada poważne ośrodki przemysłowe), wieś nie może być pozbawiona tak ważnej części nadbudowy, jaką jest działalność ośrodków kulturalnych.

— Poważne zróżnicowanie — mówi dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Skierniewicach mgr **Bogusław Kajca** — występuje także w miastach. Są ośrodki mniej prężne, przeżywające pewien zastój jeśli chodzi o inicjatywy jak i o rozbudzenie życia kulturalnego. Na przykład: z bibliotek publicznych korzysta u nas ok. 88 tys. czytelników. Ale w Brzezinach na 100 mieszkańców przypada 27 czytających, a w Sochaczewie — tylko 14! (średnia krajowa — 20,8). Przeliczając to na przysłowiową „głowę" mieszkańca okaże się, że w Brzezinach przypada 3,2 wolumina, a w Sochaczewie zaledwie 1,6. Podobnie jest w gminach. Dlatego nasze wysiłki idą w tym kierunku, aby te rażące dysproporcje wyrównać. Dotyczy to nie tylko czytelnictwa, lecz całokształtu spraw związanych z kulturą.

Bogusław Kajca nie jest człowiekiem nowym w „kulturze". Przed reorganizacją administracyjną kraju był dyrektorem Wydziału Kultury byłego województwa łódzkiego. Pracę zna od przysłowiowej „podszewki". I choć wszystko musiał zaczynać od zera, nie kryje optymizmu. Nie ma odpowiedniego zaplecza lokalowego, to prawda (potrzebne poważne zaangażowanie środków inwestycyjnych) — za to można wykształcić i wychować potrzebną kadrę, ludzi którzy rozpoczną pracę od podstaw w najbardziej zaniedbanych kulturalnie ośrodkach, tam, gdzie dotąd nie zawsze docierała nawet gazeta.

W województwie są już czynne muzea regionalne: w Brzezinach i Rawie Mazowieckiej, w Żyrardowie, Łowiczu, Nieborowie i Żelazowej Woli. W niedalekiej przyszłości powstanie podobne w Sochaczewie.

Działają ośrodki twórczości ludowej. Najpoważniejsze z nich są w Łowickiem i Rawskiem: garncarstwo, rzeźby, haft, wycinankarstwo, kowalstwo artystyczne, malarstwo i plecionkarstwo. Obecnie na terenie całego województwa działa 250 twórców ludowych. W Bolimowie mieszka **Józef Konopczyński** uprawiający ceramikę bolimowską. Jego siostra maluje ludowe wzory na wazonach. Twórczość Konopczyńskiego zasługuje na szczególną uwagę, bowiem jego prace są znane daleko poza granicami kraju, a w roku ubiegłym mieszkała u niego malarka z Francji, która urzeczona pracami Konopczyńskiego przez cały rok uczyła się i podpatrywała sposób jego pracy. Ale Józef Konopczyński jest już stary, pracuje coraz mniej. Z żalem mówi o braku zainteresowania u młodzieży tą właśnie formą sztuki. Jak dotąd nie ma godnych siebie następców. Nie mniej znanym na świecie jest drugi ludowy twórca z Rylska Dużego — **Mieczysław Żegliński** — strugający świątki o niepowtarzalnym uroku i pięknie. W Godzianowie natomast mieszka i pracuje **Stanisława Romaniak**, kierująca tamtejszym wiejskim ośrodkiem kultury, która jest nie tylko rzeźbiarką lecz i poetką. Ale największym „zagłębiem" sztuki ludowej jest Łowicz. Pracują tu hafciarki, wycinankarki i tkaczki: **Emilia Pudłowska, Helena Miazek, Maria Ciesielska, Helena Kapusta, Jadwiga Łukawska, Józefa Woźniak, Franciszka Pietrzak, Lucyna Walczak, Helena Gruszczyńska, Anna Majcher, Stanisława Dziąg, Helena Białecka i Stanisława Wrzesińska.**

Tak więc jest zaplecze i jest inicjatywa władz. Połączenie tych dwu spraw już przyniosło widoczne i namacalne wyniki.

ZADANIA, KIERUNKI, FORMY

Jest ich dużo i są poważne. Obok pracy ideowo-wychowawczej jest pilna potrzeba zniwelowania istniejących jeszcze dysproporcji w zakresie upowszechniania kultury i sztuki, a także kultywowanie folkloru i tradycji robotniczych. Aby jednak to nastąpiło należy przygotować społeczeństwo do pełniejszego niż dotychczas uczestnictwa w programowaniu, realizacji i kontroli pracy poszczególnych jednostek. Taki właśnie program opracował Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego na lata 1976—1980 i przedłożył Egzekutywie Komitetu Wojewódzkiego PZPR do zatwierdzenia. Jest to ważny dokument, obejmujący całokształt spraw, nakładający obowiązek zdynamizowania zarówno środowisk miejskich jak i wiejskiego. Ta dwukierunkowość jest uzasadniona tym, że pomimo wybitnie rolniczego charakteru województwa (sadownictwo, uprawa zbóż, ziemniaków i warzyw) są poważne, liczące się w kraju, ośrodki przemysłowe (przemysł włókienniczy, odzieżowy, maszynowy, chemiczny, elektrotechniczny, spożywczy itp.).

Kierunki działania władz kulturalnych pójdą przede wszystkim na poszerzenie zasięgu czytelnictwa i oddziaływanie placówek muzealnych, na rozwój amatorskiego ruchu artystycznego, a także samorodnej twórczości ludowej, na stworzenie warunków, by ośrodki kultury robotniczej jeszcze pełniej zaczęły oddziaływać na własne środowiska, wreszcie na właściwym i pełniejszym wykorzystaniu instytucji artystycznych: środowisk twórczych nie tylko lokalnych lecz także tych z Łodzi i Warszawy. Musi powstać nowa infrastruktura kulturalna mająca swe **centra kulturalne w Skierniewicach, Żyrardowie, Sochaczewie, Łowiczu, Brzezinach czy Rawie Mazowieckiej**, która będzie determinowała życie kulturalne całego województwa. Oczywiście będzie to wymagać czasu. Lecz właśnie na tym polega cały skomplikowany proces, obliczony na wiele lat pracy. Efekty nie zjawią się szybko, bowiem trzeba będzie nie tylko przełamać zastarzałe pojęcie myślowe, odrzucić stare, nieprzydatne w nowych warunkach formy działania, ale trzeba będzie dokonać rzeczy zupełnie nowej: wychować całe zastępy zaangażowanych, świadomych odpowiedzialności za swoją pracę działaczy, tych częstokroć anonimowych społeczników, działających na pierwszej linii frontu kulturalnego.

— Winniśmy wyzwalać inicjatywę, umiejętnie ją pokierować — mówi st. insp. KW Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej tow. **Adam Kaliszewski.** — Dziś awans otrzymuje nie tylko pojedynczy człowiek czy rodzina, ale całe środowisko. Obserwujemy zjawisko dość ciekawe: młodzi ludzie, którzy niegdyś odchodzili ze wsi, dziś do niej wracają. Jest u nas taka wieś Rybno. Na pozór niczym się nie wyróżnia. Ale w tej wsi mieszka ponad 20 osób z wyższym wykształceniem i ponad stu ze średnim. Musimy więc to wykorzystać. Dziś nie wystarczy na wsi klub „Ruchu" czy kiosk z gazetami. Wymagania ludzi rosną szybciej niż nasze inwestycje kulturalne. I o tym nie możemy w tej batalii o kulturę, zapomnieć.

BAZA I KADRY

Jak już wspomniałem, sieć placówek kulturalnych na terenie woj. skierniewickiego, jeśli chodzi o ilość, nie odbiega od przeciętnej krajowej, gorzej przedstawia się sprawa ich rozmieszczenia, wyposażenia i warunków lokalowych. Ale lokale, to najbardziej palący problem. Dlatego też do tej pory nie ma w Skierniewicach szkoły muzycznej, choć na organizowane w mieście koncerty przychodzi więcej ludzi niż może ich pomieścić największa, bo mieszcząca zaledwie 300 osób salka w budynku Urzędu Wojewódzkiego. Ratując sytuację, w budynku po browarze dodonano prac adaptacyjnych, by można było przeprowadzić tam Wojewódzki Dom Kultury, Biuro Wystaw Artystycznych, ZPAP, a także czytelnię biblioteki dziecięcej. Jedynym nowym budynkiem będzie kinoteatr, który zostanie oddany w listopadzie br. do użytku. Znajdzie w nim miejsce kawiarnia, scena z zapleczem oraz sala na 600 miejsc. Na dobrą sprawę w Skierniewicach nie ma ani jednego budynku kulturalnego z prawdziwego zdarzenia. Na moje pytania dyr. Kajca odpowiadał: nie ma. Biblioteka — nie ma, kino — nie ma, muzeum — nie ma, BWA — nie ma, sala koncertowa — nie ma! Ale są już plany, odległe bo odległe, lecz realne. Jako pierwsza jaskółka nowego będzie wspomniany kinoteatr. Potem — WDK, Wojewódzka Biblioteka Publiczna, gmach Centrum Kultury.

Potrzeby nowego województwa są zaiste ogromne. W samych miastach należy wybudować lub rozbudować co najmniej 7 domów kultury, trzy biblioteki, jedno muzeum. W gminach te potrzeby są znacznie większe: konieczne są co najmniej dwa Wiejskie Domy Kultury i aż 21 Gromadzkich Ośrodków Kultury! Planuje się, że do 1990 r. potrzeby województwa w tym zakresie zostaną zaspokojone. Oczywiście za tymi liczbami kryją się pieniądze i ludzie. Dlatego plan perspektywiczny zakłada, że do końca pięciolatki co najmniej 40 proc. ogółu pracowników instytucji wojewódzkich winno posiadać wykształcenie wyższe.

Województwo skierniewickie to także zabytki. Jest ich tu sporo. Lepiej i mniej znane. W sumie jest ich 474. Do najbardziej uczęszczanych należy pałac w **Nieborowie, Arkadia, Żelazowa Wola.** Ale są także pałace, zamki, dwory, budowle sakralne, ratusze i domy warte obejrzenia. Poważna ich część wymaga jednak niezbędnego remontu i konserwacji. Wojewódzki Konserwator Zabytków przedstawił w swoim sprawozdaniu szczegółowy wykaz tych obiektów i potrzeb z zakresu robót murarsko-budowlano-konserwatorskich. Lista ta jest długa, obejmuje kilkadziesiąt pozycji. Koszt robót wyniesie także kilkadziesiąt milionów złotych. A więc i w tej części działań Wydziału Kultury niezbędny jest pośpiech, gdyż większość tych obiektów wymaga natychmiastowego zabezpieczenia i prac remontowych.

Z ziemią skierniewicką są związane nazwiska **Chopina, Reymonta, Chełmońskiego** (urodził się we wsi Boczki). W miejscowościach związanych z nimi, od lat są kontynuowane imprezy kulturalne: w Żelazowej Woli — koncerty, w Lipcach — wystawia się „Wesele Boryny", w Boczkach — powstał zespół pieśni i tańca.

Gorzej przedstawia się sprawa jeśli chodzi o pisarzy i poetów. Jak dotąd — nie ma żadnej oficjalnej statystyki, nikt nie wie czy są ludzie pióra czy ich nie ma. Co prawda przy ZW ZSMP powstał klub młodych twórców, lecz niewiele się wie o nim na szerszym forum. Wydaje mi się, że sprawa ludzi piszących może mieć istotne znaczenie dla środowiska. A może by tak władze kulturalne województwa porozumiały się z łódzkim oddziałem Związków Literatów Polskich i poprosili pisarzy o pomoc?

Kultura w Skierniewickiem przeżywa swój niebywały w dziejach rozwój, idzie szerokim, wielorakim natarciem. Dużo już zrobiono, wiele się robi obecnie, ale dopiero przyszłość pozwoli na pełną, gruntowną ocenę dokonań. W każdym bądź razie rosną już procenty od zainwestowanego w rozwój kultury kapitału.

NIE TYLKO HISTORIA

WOJNA W ETERZE

Kiedy przed dwoma laty byłem w Bułgarii, jeden z wybitnych historyków tego kraju — dziś profesor w Instytucie Historii Bułgarskiej Akademii Nauk — opowiadając mi o dziejach swojej ojczyzny zrelacjonował mi następującą historię. Na frontach II Wojny Światowej dokonywał się przełom, Armia Czerwona rozpoczęła swą gigantyczną ofensywę, w monarchistycznej Bułgarii faszystowska władza czuła się coraz bardziej niepewnie, pomimo rozbudowanego aparatu ucisku i terroru. Władze monarchii czyniły wszystko, by przy pomocy zintensyfikowanych działań propagandowych zdezinformować społeczeństwo, wywołać w nim nastroje przyjaźni dla hitlerowskich Niemiec oraz nienawiści do Związku Radzieckiego. Skuteczność tych działań propagandowych, prowadzonych przy pomocy najróżniejszych środków, była doprawdy znikoma. Nie tylko ze względu na tradycyjną, mającą swoją dawną metrykę historyczną, przyjaźń narodu bułgarskiego do Rosji. Również ze względu na to, że oficjalna propaganda spotykała się z aktywnym odporem ze strony środowisk antyfaszystowskich i komunistycznych. Mój rozmówca był w tamtych latach aktywnym działaczem podziemnej partii komunistycznej. Opowiadał mi, jak jego organizacja przeciwdziałała rządowej propagandzie, jakie organizowała akcje, jak wprowadzała w błąd uzbrojonych po zęby i doskonale wyposażonych w broń i amunicję policjantów i żołnierzy, stojących na straży faszystowskiego porządku, prowadziła walkę zbrojną. Niestety nie notowałem tej arcyciekawej relacji, a szczegóły opowiadania zblakły w mej pamięci z biegiem czasu. Jedno jednak w niej pozostało: opowieść o bułgarskim patriocie — komuniście, który był postacią o niezmiernej popularności, chociaż działał w ukryciu. Otóż każdego dnia, w czasie kiedy oficjalna rozgłośnia sofijska nadawała swój serwis informacyjny, na tej samej fali włączała się inna radiostacja, nadająca spoza frontu i odzywał się inny głos. Był to głos bułgarskiego komunisty, który słuchał nadawanego właśnie oficjalnego dziennika radiowego, komentował go na żywo, dezawuując kłamstwa propagandy rządowej. Władze czyniły co mogły, aby ten donośny głos zagłuszyć, ale bez rezultatu. Radiostacja była bardzo silna, więc jej zagłuszenie równałoby się... zagłuszeniu również i własnych, oficjalnych programów propagandowych. W ten sposób Bułgarzy słuchali na swych odbiornikach jednocześnie dwóch wzajemnie sprzecznych programów politycznych.

Chyba szkoda, że nie ma o tych sprawach wzmianki w świeżej książce Władysława Kozaczuka ogłoszonej przez Wydawnictwa Radia i Telewizji (1977) i opatrzonej tytułem: „Wojna w eterze". Autora tego dzieła, przedstawiać nie potrzeba: wiemy, że jest on pracownikiem Wojskowego Instytutu Historycznego, specjalizującym się od wielu lat w zagadnieniach historii dywersji w szczególności w latach II Wojny Światowej, poznaliśmy też, że w swych pracach potrafi w szczęśliwy sposób łączyć potoczystość narracji z powagą interpretacji analizowanych spraw. Również i ta jego książka nie sprawia czytelnikom zawodu: jest to nad wyraz interesująca, oparta o poważną, wielojęzyczną dokumentację, barwna opowieść o sprawach które nie tylko były sensacyjne ale były także i ważne — miały swoje określone, często, nie doceniane miejsce w wielkich wydarzeniach wojenno-politycznych niedawnej przeszłości.

Jak każdy historyk, również i W. Kozaczuk zaczyna swoją opowieść od początków badanego przez siebie zjawiska. Mało kto zapewne wie, że wartość „telegrafu bez drutu" — jak to się niegdyś mawiało — jako „nowego środka komunikowania się na odległość" stosunkowo wcześnie doceniły dowództwa flot wojennych wielkich mocarstw jeszcze przed I Wojną Światową, że wywiad radiowy — oczywiście w bez porównania mniejszej skali, aniżeli to będzie później — odegrał istotną rolę już podczas I Wojny Światowej. Była to dopiero prehistoria zjawiska. W. Kozaczuk przypomina znane fakty o rozwoju radiofonii i sposobach wykorzystywania stworzonych przezeń możliwości w okresie międzywojennym, akcentuje znaczenie wyzyskiwania radia przez system hitlerowski, zwłaszcza podczas hiszpańskiej wojny domowej i w chwilach bezpośrednio poprzedzających wybuch II Wojny Światowej. Zasadniczym jednak kręgiem zagadnień, omawianych przez autora, są dzieje dywersji radiowej podczas II Wojny Światowej.

Nie myślę streszczać tu relacji W. Kozaczuka — zapewne wielu czytelników zechce do niej sięgnąć bezpośrednio. Zastanawiam się tylko, dlaczego w książce tej tak silnie zachwiane zostały proporcje między tym, co działo się podczas II Wojny Światowej na Zachodzie, a tym, co dokonywało się na Wschodzie. Że jest tak na ogół w zachodnioeuropejskiej literaturze, podejmującej podobne tematy, to zrozumiałe, ale dlaczego u nas? Tego nie rozumiem, a przecież podany na wstępie tego felietonu przykład bułgarski zdaje się świadczyć, że wiele jest jeszcze do powiedzenia o dziejach dywersji radiowej podczas II Wojny Światowej także i w tych stronach Europy. I jeszcze jedno. Wydawca opatrzył tę książkę własnym słowem wstępnym. Nie byłoby w tym nic szczególnie godnego uwagi, gdyby nie to, że fragment ten, mający uwrażliwić czytelnika na aktualna wymowę omawianych w pracy problemów, jest napisany podług najgorszych wzorów sztuki propagandowej.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Fot. W. Parys

„...Nie wystarczy, że są kochankowie. Potrzebne jest miejsce, gdzie by ta miłość mogła się spełnić".

„NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY..."

Rozmowa z **HENRYKIEM CZYŻEM**, kierownikiem artystycznym Państwowej Filharmonii w Łodzi

Chociaż wiele się robi dla popularyzacji muzyki poważnej w naszym kraju, często przegrywa ona w konkurencji z lekką muzą. Tymczasem postawił Pan sobie ambitne zadanie zmiany tej sytuacji. Temu celowi służył między innymi cykl audycji telewizyjnych „Nie taki diabeł straszny..." Popularyzuje Pan także polską muzykę za granicą. Jak się Pan czuje, jako laureat licznych nagród za upowszechnianie muzyki?

Dyrygent jest zawsze, w pewnym stopniu, popularyzatorem muzyki, ten obowiązek wiąże się z jego zawodem. Nieczęsto jednak bywa nagradzany. I przyznam się, że jest to bardzo miłe, gdy jego działanie zostanie dostrzeżone. Rzadko mi się zdarzało bywać laureatem, a teraz spłynął na mnie wprost deszcz wyróżnień. Zaczęło się to od nagrody ministra spraw zagranicznych za popularyzację kultury polskiej za granicą. Ostatnio zaś otrzymałem nagrodę przewodniczącego radiokomitetu za „Diabła...".

I co? Nie taki diabeł straszny? Jaki jest Pana stosunek do tych wyróżnień?

Mówiłem już, że to dość przyjemne, kiedy się otrzymuje nagrody. Cieszy mnie, że w ten sposób dostrzeżono range instytucji, gdzie sprawuje kierownictwo artystyczne, bo przecież wszystkie te wyróżnienia pozostają w związku z działalnością łódzkiej filharmonii. Może tylko nagroda ministra spraw zagranicznych ma najbardziej indywidualny charakter, chociaż z moim zespołem orkiestrowym często występowałem w różnych krajach. Ale już „Diabeł..." to na pewno zasługa wielu ludzi.

A dlaczego chce Pan skończyć ten cykl po szesnastej edycji?

Chce pan poznać prawdę? Otóż jestem zdania, że niczego nie można ciągnąć na siłę, aby się nie przejadło. To dobrze, że te audycje, teraz wznowione w programie II telewizji cieszyły się powodzeniem. Musiałem jednak przerwać je w takim momencie, aby rozstaniu z telewidzami towarzyszyło uczucie żalu zamiast westchnienie ulgi.

Zadecydowały więc względy taktyczne?

Nie tylko. Trzeba pamiętać o konflikcie popularyzator — artysta. Jeśli coś łatwo się odbiera, jeśli trudne utwory muzyczne w naturalny sposób docierają do odbiorcy, nawet tego mniej wyrobionego, to zazwyczaj stworzenie takiego wrażenia musi być poprzedzone kolosalną pracą. Ale udało mi się nabrać nawet najbliższych znajomych, że mam po prostu dar przystępnego mówienia o skomplikowanych sprawach. Słuchaczowi udało mi się zasugerować coś więcej: że to, o czym się łatwo mówi, jest proste. Naprawdę jednak nie urodziłem się gawędziarzem, do każdego występu przed mikrofonem musiałem się starannie przygotować. Zwracałem uwagę na składnię, na język. Nie jest to takie proste w dzisiejszych czasach, gdy człowiek podlega presji niedobrych wzorów, które tak bezkrytycznie upowszechnia prasa. Wielu mówców łącznie z naukowcami, mówi żargonem, o języku dziennikarzy lepiej nie wspominać. Może pan nie uwierzy, ale na początku nagrywałem wszystko na taśmę i wzywałem kolegę, polonistę, który wychwytywał mi wszystkie potknięcia. I straszliwie ze mnie szydził. Zresztą byłem rygorystyczny i bezwzględny wobec samego siebie, bo mam zainteresowania literackie, dużo czytam, a nawet, o czym pan przecież wie, piszę książki.

No właśnie, a czy problematyka zaprezentowana w „Diable..." nie zasługuje na publikację?

Złożyłem taką propozycję w Wydawnictwie Łódzkim. Po prostu, opracowałem literacko listę monologową tej audycji opierając się na zapisie magnetycznym z telewizji. Chcę wydać te refleksje łącznie z tekstem dzieł oratoryjnych czy koncertowych wykonywanych w „Diable...". Bo zazwyczaj publiczność rzadko ma okazję zetknąć się z komentarzami tego typu. Słuchacze w licznych listach prosili mnie o dostęp do materiałów z których korzystałem.

Chętnie będę jednym z nich, chociaż sporo czytuję o muzyce....

Przystępując do tych audycji zakładałem, że widz jest oczytany. Aby przez godzinę opowiadać o rzeczach, które są właściwie znane, trzeba okrasić wszystko anegdotą, dotrzeć do trudno dostępnych materiałów. Często więc korzystałem ze źródeł niedostępnych w języku polskim.

Czy drobiazgowa wiedza o utworze pomaga Panu jako dyrygentowi?

„Peer Gynta" Griega studiowałem, na przykład, specjalnie, kiedy nagrywałem płytę. Im więcej się wie o dziele, tym większa szansa, że pełniej odda się idee tego dzieła i przekaże ją słuchaczowi.

Podejrzewam więc, że poszukiwania, jakie Pan prowadził w bibliotekach miały także wpływ na kształt repertuaru....

Starałem się nie popaść w schemat, który jest piętą Achillesową cyklicznych audycji. I chyba udało się. Poza sygnałem początkowym i powitaniem publiczności, każdy odcinek był chyba nowy i formalnie, i właśnie repertuarowo. Zresztą zastanawiając się nad tak zwaną linią repertuarową, zrezygnowałem z szeregowania utworów według kompozytorów czy wręcz kalendarza, aby nie powstała jeszcze jedna pseudoencyklopedia. Jest to właściwie jedyna droga do uniknięcia nachalnej dydaktyki, która stanowi stałą groźbę działalności popularyzatorskiej. Zastanawiałem się, po prostu, co mam ciekawego do powiedzenia i pod tym kątem dobierałem utwory. Strzelałem, ale nie całkiem na oślep. Gdybym chciał się posłużyć analogią, to bym powiedział, że moje wysiłki podobne były do usiłowań strzelca grającego w popularną „bitwę morską", a tam trzeba tak mierzyć, żeby trafić w kwadrat zajmowany przez okręt. Starałem się oczywiście uwzględnić możliwie różnorodne style, gatunki, epoki. Włączyłem więc do repertuaru i awangardę, i klasykę, i romantyzm.

Wprawdzie rozpoczął się nowy sezon koncertowy, ale warto chyba powiedzieć o minionym, bo to zawsze ważne doświadczenie...

Nie ma chyba drugiej filharmonii w Polsce, która miałaby tak wielką widownię jak my, dzięki tym telewizyjnym transmisjom. Poprzednio często nagrywaliśmy dla radia, ale telewizja ma oczywiście większą popularność. Niektórzy twierdzą, że ten zasięg oddziaływania był największym sukcesem w dziejach łódzkiej filharmonii. Choć oczywiście nie było łatwą sprawą połączyć koncert publiczny z dobrym technicznie nagraniem. Było to szczególnie trudne zwłaszcza dla kamerzystów, którzy praktycznie nie mieli żadnych prób, rejestrowali wszystko na żywo. Nie jest proste takie poprowadzenie koncertu, żeby wyodrębnić wszystkie instrumenty, tak je poprowadzić, aby stanowiły element dramaturgii obrazu. Ale się chyba jakoś wybroniłem, mimo zaimprowizowanego charakteru audycji, co było jej założeniem. Bo improwizacja ma swoje zalety, przynosi świeżość, autentyzm, wypowiada prawdę chwytaną na gorąco. Czasem może kamera czegoś nie wychwyciła, jak to się zdarza podczas transmisji piłki nożnej, kiedy obiektyw nie zdążył zarejestrować lotu piłki do bramki i ukazuje tylko minorową minę golkipera. Te audycje można by robić oczywiście inaczej, ale straciłaby wówczas swój autentyzm.

A czy świadomość, że każdy ruch jest rejestrowany przez taśmę, miała wpływ na grę zespołu? Publiczne wykonanie zawsze chyba stwarza pewne napięcia, a przecież w tym wypadku szło o wielomilionową widownię, która w dodatku lepiej dostrzegała, dzięki telewizyjnym zbliżeniom, pewne szczegóły niż słuchacze na sali koncertowej, nawet siedzący w pierwszych rzędach...

Artyści lubią, kiedy ich działalności towarzyszy rozgłos, to pewne. Nikt z nas nie jest tak całkiem wolny od próżności, która miłe łechce i podnosi samopoczucie. Przyznam się jednak, że świadomość publicznej transmisji nie wpływa korzystnie na grę zespołu. Jako dyrygent nie mogłem także poświęcić tyle czasu, co zazwyczaj, na przygotowanie utworu z orkiestrą, musiałem przecież mówić do mikrofonu. Niekiedy były to rodzaje przedstawień, które trzeba aranżować i pewna ilość czasu, zwykle poświęcaną tylko muzyce, musiałem poświęcić aktorom czy śpiewakom. Toteż zespół musiał ten brak uwagi nadrabiać ambicją i pełną koncentracją.

Koncentracja musiała być tak doskonała, że zamiast oglądać ambicje, słyszeliśmy dobrą muzykę. A jak by Pan ocenił swój zespół? Czy jest to ten sam zespół orkiestrowy, który obejmował Pan przed laty z dobrodziejstwem inwentarza?

Jedno, co mogę powiedzieć to to, że kolosalnie zmienił się jego skład. Nie moja w tym zresztą zasługa. Różnie się w Polsce mówi o szkolnictwie, ale chyba zasługuje na podkreślenie fakt, że w ostatnich latach łódzka Wyższa Szkoła Muzyczna daje nam świetną młodzież, która zasiliła naszą Filharmonię. Ci młodzi reprezentują sobą dużą dojrzałość intelektualną i zawodową. Nie chcę obrażać innych orkiestr, ale Filharmonia Łódzka wyróżnia się jako kolektyw na tle innych zespołów w kraju. Z tym zespołem nie tylko przyjemnie się gra i pracuje. W tym zespole jest przyjemnie przebywać.

W ostatnim sezonie zespół Filharmonii został, jeśli tak to można określić, przeegzaminowany przez wielu wybitnych dyrygentów i solistów, w trudnym repertuarze. Czy opinia gościnnie występujących artystów o zespole pokrywa się z Pańską charakterystyką?

Stawia pan takie pytania, że choć chwalenie się nie jest najpiękniejszą cechą, muszę wspomnieć o tych dobrych głosach, jakie pod naszym adresem rozlegają się w Biurze Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, kiedy zagraniczni artyści opuszczają Łódź. Nie wszyscy może są naszymi entuzjastami do tego stopnia co Dawid Ojstrach, który wyraził się do jednego z dostojników: „Łuczszie wsiego orkiestr Cziża", ale słyszymy wiele pochwał. Przygotowywaliśmy się na przyjazd Ojstracha, który miał wykonywać Brahmsa i Czajkowskiego. Mieliśmy jego nagrania i nauczyliśmy się ich na pamięć, aby utrafić w styl jego gry. To takie wspomnienie o tym wielkim skrzypku. Współpracuje nam się nieźle z najwybitniejszymi indywidualnościami. Niestety, nikt z przyjeżdżających nie zachwyca się naszą salą.

O, właśnie. A czy trudno o te zagraniczne kontakty?

To są z jednej strony zabiegi dyrekcji Filharmonii o finanse, bo dobry solista drogo kosztuje. Ale decyduje także ranga Łodzi jako ośrodka kulturalnego. I oczywiście, kontakty osobiste.

A czy odczuwa Pan presję odbiorców? Czy bywalcy Filharmonii Łódzkiej oczekują od was, że zaprosicie tutaj największe indywidualności?

Nie ukrywam, że grono wyrobionych melomanów kurczy się. Ta najżywiej wyrobiona widownia postarzała się. A młodzi słuchacze to problem sam w sobie. Słuchacza trzeba wychowywać, tak jak wychowuje się orkiestrę. Dlatego z takim uporem wracam do sprawy budowy sali koncertowej. Początkowo ludzie przychodzą do takiej sali ze zwykłej ciekawości, żeby zobaczyć rezultat pracy architektów i budowniczych. Przyjemnie jest chyba zasiąść w pięknym otoczeniu i patrzeć jak blisko setka wyfraczonych panów i pań o smukłych ramionach pociąga smyczkiem. W widoku grającej orkiestry jest jakiś element magii, w jej grze jest coś więcej niż magia, jest przeżycie estetyczne. W dzisiejszej sali wszystkie efekty magiczne są psute przez fatalną akustykę.

A co Filharmonia robi, żeby przyciągnąć nowego słuchacza? Chyba nie będziecie czekać na wybudowanie nowego gmachu?

Wychodzę z marksistowskiego założenia, że decydująca jest baza, chociaż nie lekceważę także nadbudowy. Oczywiście staramy się przyciągać słuchacza, głównie repertuarem, ale brak odpowiedniej sali jest kulą u nogi. Aż dziwne, bo w międzyczasie doskonałe sale koncertowe zyskały takie miasta jak Szczecin, Opole, Częstochowa, Bydgoszcz, Białystok, Rzeszów. Pierwszym warunkiem naszej walki o słuchacza jest więc zdobycie nowej sali. W ramach tej walki urządzamy koncerty dla przedszkolaków, koncerty szkolne, nawet koncerty dla rencistów. Jesteśmy założycielami Klubu Miłośników Muzyki Poważnej. Ale to są półśrodki. Z muzyką jest jak z miłością. Nie wystarczy, że są kochankowie. Potrzebne jest także miejsce, gdzie by się ta miłość mogła spełnić.

Ale w dobie fonografu muzykę realizuje się nie tylko w sali koncertowej. Nagranie nie zastąpi nigdy koncertu na żywo, ale i ono ma znaczenie w propagowaniu muzyki.

W stosunkowo krótkim okresie czasu nagraliśmy cztery płyty: II Symfonię Szymanowskiego, V Symfonię Beethovena, arie operowe z Teresą Wojtaszek-Kubiak i „Peer Gynta". Nagrywaliśmy także muzykę do filmów: „Latarnik", „Mgła", „Barwy ochronne", „Rozkaz ocalić miasto". Ale pamiętam, z okresu mej pierwszej pracy w Łodzi, że nagrywałem muzykę do „Pamiątki z Celulozy", do „Rancho Texas", do filmu „Ewa chce spać".

Czy starał się Pan kiedykolwiek porównać te okresy?

Przede wszystkim ja się postarzałem, a Łódź młodnieje. Konstatuję także, że teraz mam lepszy zespół, a budynek gorszy, dochodzi do momentu krytycznego. Myślę wreszcie, że zespół nigdy się tyle nie najeździł za granicę, co w tej chwili. W ciągu tych paru lat byli przecież dwukrotnie w ZSRR, gdzie między innymi uczestniczyliśmy w Dniach Kultury Polskiej, odwiedziliśmy NRD, parokrotnie Włochy, wybieramy się do RFN i Francji. Te zagraniczne kontakty są jakąś miarą sukcesu Filharmonii. Ale sprowadza je zaraz do właściwego poziomu brak sali, której budowy nie udało mi się dotąd spowodować, chociaż brałem udział w wielu posiedzeniach, oglądałem projekty i składałem monity w tej sprawie. Nie udało mi się także sprawić, aby kolejki przed Filharmonią były większe niż pod kinem „Bałtyk", z którym sąsiadujemy. Nie wiem wreszcie, czy udało mi się uzyskać poprawę repertuaru. Istnieje przecież rozdźwięk między zainteresowaniem zawodowca, a zapotrzebowaniem na muzykę publiczności. Bardzo na przykład chciałbym dyrygować Mahlera i tylu innych kompozytorów, których droga do słuchacza jest wciąż trudna. Nie wiem wreszcie, czy słuchacz uwierzył mi do końca, że jeśli chodzi o muzykę, to „Nie taki diabeł straszny jak go malują".

Dziękuję za rozmowę, życząc dalszych sukcesów artystycznych w nowym sezonie.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

Foto: T. Krzemiński

STUDENCI

TOMASZ SOLDENHOFF

przed terminem

— Przyszliśmy, żeby porozmawiać z wami o tej integracji — zapowiedzieli poważnie „aktorzy" obsiadając kanapę.

Wbili kose spojrzenia w dufnych, wyrośniętych „reżyserów" i zamilkli, wyrażając w ten sposób pełną gotowość do pertraktacji. Od tej chwili liczył się każdy fałszywy gest i nieszczere słowo.

Kto z kim i po co miał „pertraktować" i „integrować się"? I dlaczego miało to być tak bardzo ważne?

Ewa, Grzegorz i Paweł zdali na reżyserię. Ewa — po studiach geologicznych w Warszawie (zrezygnowała z doktoratu), Grzegorz — po poznańskiej (i jak twierdzi: najlepszej) Akademii Sztuk Pięknych (w klasie malarstwa prof. Tadeusza Brzozowskiego), Paweł — po polonistyce.

Wszyscy troje mieli za sobą niemałe doświadczenia artystyczne. Grzegorz na przykład współpracował z Teatrem Ósmego Dnia, z Baletem Conrada Drzewieckiego, z Teatrem Narodowym, ze „Szpilkami". Paweł prowadził teatr studencki „Studio Prób Uniwersytetu Łódzkiego", ale chyba niemniej ważne były dla niego próby filmowe, literackie. Przeszedł służbę wojskową i ... nauczycielską.

Są oczytani, wygadani i bez kompleksów. Wiedzą czego chcą. Niełatwo ich „zagiąć", a na niektóre pytania odpowiedź znają nawet z góry...

Gośka, Grażyna i Romek zdali na aktorstwo. Gośka ma lat 19, w tym roku zrobiła maturę. Dopiero cztery lata temu „zaczęła poważnie chodzić do teatru". Grażyna pochodzi z Buska-Zdroju. Już w liceum była „etatową recytatorką", ale równie jak teatr lubiła „matmę" i „fizę". Wywodzi się ze środowiska, w którym o wyborze zawodu decydują wyłącznie kryteria konkretne, materialne. Z Buska do najbliższego teatru nie sposób zdążyć w jeden dzień. Grażyna musiała jakoś sobie radzić. Czepiała się szkolnych wycieczek. Wycieczki zwiedzały Kraków, a Grażyna „urywała się" na spektakl... „To nie było łatwe — mówi. — Rodzice chcieli, żebym poszła na budownictwo, albo architekturę. Ale udało mi się wyrwać. Dlaczego do Szkoły Teatralnej? Ba, gdybym wiedziała, nie znalazłabym się w niej. Gdybym miała zawrzeć to w paru słowach, byłoby za mało...".

Został Roman. Roman urodził się w Boguchwale. Ewa, Grzegorz i Paweł nawet nie wiedzą gdzie to jest... Daleka była droga do szkoły spod Rzeszowa, dwukrotnie wiodła przez Kraków. Po nieudanym egzaminie Roman pracował fizycznie w przedsiębiorstwie melioracyjnym. „Obijał się z różnymi ludźmi". Od grudnia zeszłego roku jeździł z Estradą jako „recytator" i „humorysta". „Bawił się w artystę estrady".

— Tak, miałem trudności z wymową. Ale uparłem się — mówi o tym zwyczajnie, bez cienia przechwałki, choć w jego głosie ślad trefnego „r" jeszcze niezupełnie zniknął. — Zacząłem ćwiczyć indywidualnie i jeździć do kliniki foniatrycznej, do Warszawy... Gdybym nie dostał się i w tym roku, pracowałbym dalej, jako przewodniczący gminnego zarządu ZSMP. Interesuję się ludźmi, lubię z nimi przebywać. Myślałem o naukach społeczno-politycznych. Czytałem Marksa, Engelsa... Nie będę ukrywał, że jeszcze w szkole średniej kandydowałem do partii.

Sześciu różnych ludzi, sześć różnych dróg do tej samej Szkoły. Teraz wszyscy są na pierwszym roku, choć niekiedy dzieli ich siedem, osiem lat. Niełatwo im jest znaleźć wspólny język. Zaczęli źle. Od dwuznacznych uśmieszków za plecami, od pretensji. Podsycali „tradycyjne" na tej uczelni uprzedzenia i niechęci. Zaczęli nieżyczliwie, popadli w pozy.

— Integracja, integracja... — mruczeli „reżyserzy" z ironią.

— Dlaczego jesteście tacy? Czemu patrzycie z wysoka? Po co manifestujecie tę „wyższość"? — pytali „aktorzy" ze smutkiem.

Siedziałem z boku i patrzyłem, jak w miarę upływania wieczoru ubywa „ziół" — pysznego, grzanego wina â 30 zetpeel, jak powolutku pękają lody, a „reżyserzy" zrzucają pancerzyki.

II.

Pomysł nowy, ryzykowny. Czterdziestu młodych ludzi, już przyjętych, wyzwolonych na czeladników, ale jeszcze przed rozpoczęciem terminu umawia się na spotkanie z mistrzami.

Podłódzki kąt, ostatni tydzień lata, ośrodek „Relaks", trochę w bok od szosy i od wsi. Pusty basen, świetlica, schludne domki murowane i z drewna, wśród sosen i róż na chwilę przed przekwitaniem.

Jak wyobrażali sobie to spotkanie?

Student I roku Wydziału Reżyserii:

— Dostaliśmy wraz z zaproszeniem (obóz był obowiązkowy) kartki, żeby zabrać ze sobą kostiumy sportowe. Sądziłem, że będzie to obóz sportowy i tylko dla przyszłych reżyserów.

Student I roku Wydziału Operatorskiego:

— Jechałem z myślą, że poznam ciekawych ludzi, a przede wszystkim kolegów z innych wydziałów. Spodziewałem się też zajęć praktycznych. Zapowiadano konkurs fotograficzny. I po to chyba proszono nas aby zabrać sprzęt...?

Docent na Wydziale Reżyserii:

— Zapytałem moich studentów: czy jesteście jak konie gotowe do biegu? A oni zaczęli się skarżyć: wody nie ma, jesteśmy zmęczeni, nudzimy się. Studenci przed rokiem powinni odpocząć. Powinni startować z punktu, w którym jest się rześkim i wypoczętym. Więc obóz ten to raczej bezsens.

Dziekan Wydziału Aktorskiego:

— Może szczęśliwsze byłoby potraktowanie tego spotkania jako ostatniego etapu egzaminów wstępnych na naszą uczelnię. Obóz taki służyłby głębszemu, prawdziwszemu i spokojniejszemu rozeznaniu możliwości kandydata. Studentów w rozstrzygającym momencie pozbawiłby chyba zbędnej nerwowości.

Prodziekan Wydziału Operatorskiego:

— Spotkanie takie powinno się raczej odbyć w pierwszym okresie nowego roku akademickiego. Poświęciliby śmy je nauczeniu spraw elementarnych, wpojeniu tej wiedzy, której brak uniemożliwia rozmowy o sprawach ważniejszych, artystycznych. Obóz ulokować by można w okolicy bardziej malowniczej, np. w Kazimierzu nad Wisłą. Plenery historyczne i przemysłowe inspirowałyby przyszłych filmowców, a zwłaszcza operatorów.

Stanęło na formule tygodniowego **„obozu adaptacyjnego"**, choć nazwa ta jest dość nieszczęśliwa, nie tylko dlatego, że brzmi mało „z polska" i mało komunikatywnie.

Bo celem miała być nie tyle „adaptacja" co **„integracja"** i jej służyć miał przede wszystkim ten **pionierski na polskim gruncie pomysł zebrania studentów prawie wszystkich wydziałów** (oprócz Wydz. Organizacji Produkcji) **w jednym miejscu i czasie, przed rokiem akademickim.**

III.

Po pierwsze, czeladnicy mieli integrować się z mistrzami.

Na jednym ze spotkań **rektor Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej Stanisław Kuszewski** powiedział do studentów:

— Nauka w naszej Szkole jest przekazywaniem doświadczeń, a nie podręcznikowej wiedzy. Pedagodzy mogą wam tylko pomóc w rozwoju dając elementarną wiedzę. Szkoła jest tylko zbiorem szans oddanych do waszej dyspozycji. Niewiele wyniknie z instrukcji czy rady profesora, jeśli nie poparta będzie zamiłowaniem, samowiedzą, pracowitością studenta. Zadaniem waszym jest zatem praca nad sobą, nad rozwojem własnej osobowości.

A jednak w PWSFTviT zasada partnerstwa jest lepiej realizowana niż na innych uczelniach (lepiej to nie znaczy bezkonfliktowo). Władze unikają jak mogą sterowania metodami administracyjnymi. Jest to przecież jedyna możliwa droga w uczelni artystycznej, gdzie zakłada się stały dialog między uczniem a mistrzem. Jak nie liczyć się ze zdaniem studenta?

Aby przejść przez to ciężkie, mozolne **„terminowanie u kata"** (tak określił ktoś naukę zawodu aktorskiego, ale sformułowanie to dotyczyć może i pracy czekającej adeptów reżyserii czy sztuki operatorskiej; na tej uczelni 10—12 godzin zajęć dziennie to „normalka"), więź czeladników z mistrzami tj. „wykonawcami woli Kata" (SZTUKI!) musi być szczególna, niesformalizowana, szczera. Opiekun I roku na Wydziale Aktorskim doc. Michał Pawlicki mówił jednak o tym oporze, z jakim kandydaci do zawodu pokazywali na egzaminie wstępnym swoje własne, autentyczne niezakłamane twarze. Ów „wstyd" czy „lęk" nie ułatwiał zadania komisji kwalifikacyjnej. A i na samym „obozie adaptacyjnym" (czy raczej: „integracyjnym") adeptów trzeba było z początku mocno „ciągnąć za język". Interesowali się bardziej terminem „fuksówki" niż artystycznymi poglądami profesora, na niecierpliwe apele „Wnieśmy coś z obu stron do naszej dyskusji!" mocniej przywierali do krzeseł — w „głębokim milczeniu"...

Po drugie, czeladnicy mieli integrować się ze swoim samorządem: uczelnianym, ale i środowiskowym, łódzkim.

Na spotkanie w sobotę 17 września nie przybył przedstawiciel Zarządu Łódzkiego SZSP. Ponoć w tym samym czasie żenił się przewodniczący... Przypomniałem sobie niedawne plenum ZŁ SZSP, poświęcone problemom kultury studenckiej. Wiele wtedy mówiono o międzyuczelnianej integracji, solennie sobie obiecywano „wciągnąć" studentów szkół artystycznych do pracy w środowisku.

Obóz w Wiśniowej Górze dawał dużą szansę zrobienia pierwszego, ważnego kroku w „integracji" ze studentami PWSFTviT.

Zauważyłem u nich (w większości nie pochodzących z Łodzi) żywe zainteresowanie sprawami środowiska akademickiego, łódzkiej kultury studenckiej. Obecność przedstawicieli Komisji Kultury ZŁ SZSP wywołałaby zapewne dyskusję nad tym, jak mimo braku czasu na udzielanie się poza uczelnią i mimo skłonności studentów PWSFTviT do hermetyzmu, rozszerzyć ich udział w życiu akademickim Łodzi. Bowiem „DNI SZKOŁY", organizowane dorocznie z inicjatywy studentów PWSFTviT to propozycja z jednej tylko strony, pojedyńcza i nie wychodząca poza mury uczelni.

IV.

Po trzecie wreszcie (i najważniejsze) „obóz adaptacyjny" zintegrować miał czeladników. Z tym było najgorzej.

Dlaczego? — wspomniałem na wstępie. Zawarty w nim obrazek pochodził z „konferencji prasowej na temat integracji", z udziałem obu stron, zwyczajowo już, od wielu lat lekceważących się i nie umiejących znaleźć wspólnego języka (tak na uczelni, jak i później, w teatrze, czy filmie).

Nim opiszę dalsze bardziej już pomyślne losy siódemki przedstawionych na wstępie bohaterów (tzn. szóstki studentów i siódmej bohaterki — INTEGRACJI), chwilę czasu poświęcę.... krytyce.

W programie integrującego obozu w Wiśniowej Górze atrakcje szczelnie wypełniały tydzień. A jak było w „praniu"?.

Skromniej niż miało być, skromniej niż mogło być.

Zawiedli goście, w sumie trzech. Odpadły tym samym dwa ważne punkty programu, a trzeci odbył się przy połowicznej obsadzie. W „Dniu Reżyserii" i w „Dniu Operatorskim" nie dojechali dziekani obu tych wydziałów. Zajęcia seminaryjne dla przyszłych reżyserów ograniczyły się do jednego, czysto teoretycznego spotkania w innej, niż zaplanowano obsadzie. Wydział Reżyserii przysłał co prawda filmy, ale zapomniał o... projektorze. O planowanych etiudach i konkursie fotograficznym również zapomniano. Dodajmy do tego pogodę: kiepską, nie zachęcającą do sportów (dla których przeznaczono w programie sporo miejsca, był poranny „rozruch", siatkówka, kręgle i ping-pong). Jak na tygodniowy obóz — sporo strat i luk. **Dużo mniej okazji do integracji niż przewidywano, dużo więcej dziur, przestojów, bezczynności i miejsca na nudę.** Trzy wydziały chadzały trzema różnymi ścieżkami. Spotykały się przy zupie. Zajmując zresztą trzy oddzielne stoły.

Aha, były jeszcze wspólne, w zamierzeniu integrujące spotkania **wszystkich studentów z przedstawicielami władz trzech wydziałów**, kolejno, przed obiadem, w ciągu **trzech „DNI": Reżyserskiego, Operatorskiego i Aktorskiego.**

Po dwóch pierwszych „Dniach" nie zaobserwowałem jednak szczególnego postępu w integracji. Raczej przeciwnie. Zanotowałem takie dwa głosy:

— Jak dotąd nie powiedziano nam **nie naprawdę** nowego.

— Nawet w tej formie obozu powinno się więcej działać niż gadać.

W połowie obozu „Dzień Aktorski". Wprost z rosnącego deszczu ściągają do świetlicy: reżyserzy — osobno, aktorzy — osobno, INTEGRACJA — osobno. O operatorach nie wspomnę, bo ci mogli najmniej na cokolwiek liczyć. Wszak „Dzień" miał być „Aktorski". Wśród zebranych szóstka naszych przyjaciół: Ewa, Grzegorz i Paweł — osobno, Gośka, Grażyna i Romek — osobno. O siódmym bohaterze — integracji — była mowa.

Dziekan Wydziału Aktorskiego doc. Jan Zdrojewski mówi długo, prawie godzinę. Parokrotnie powraca do sprawy integracji tej niewykorzystanej jeszcze szansy. Dostaje się trochę reżyserom, bo też oni najbardziej są winni. Czeladnicy reżyserii wiercą się w krzesłach: **Zaraz, zaraz, nie tak ostro, a co my jesteśmy winni, że nasi mistrzowie zapominają o pracy z aktorem, o wspólnym języku z aktorem, o skromności, szacunku, koleżeństwie, więzi? Co my jesteśmy winni?...** Przyjemnie było na to patrzeć (siedziałem z tyłu, widziałem jak na dłoni). **To był początek integracji.**

Od dyskusji o integracji w ogóle blisko już do spraw warsztatowych.

— No dobrze, integracja. Ale jak wyglądać może ona na planie, skoro wiadomo, że aktorzy przychodzą często nieprzygotowani, „nie czują" kamery, „specyfiki" filmu...? — atakują przyszli reżyserzy...

— ...A reżyserzy nie wiedzą jak pracować z aktorem, gorzej, nie wiedzą nawet jakim rozmawiać językiem! — druga strona nie zostaje dłużna. Spór nabiera rozpędu, wyładowują się animozje, blisko już porozumienia.

— Nas przecież interesują ludzie... — zaczyna ugodowo któryś z „reżyserów". — Tylko że nasze kontakty z I rokiem aktorstwa ograniczały się dotąd do zdawkowych rzeczy. Może byśmy spróbowali wreszcie razem coś zrobić? Musimy się ratować i wyjść z tego „klajstru"..

Dziekani: Waldemar Wilhelm i Jan Zdrojewski popierają ten pomysł. Zainscenizowana przez nich przestrzeń zapełnia się próbą etiudy w ramach „elementarnych zadań aktorskich". Próbie towarzyszą wyjaśnienia: trzeba zacząć od podstawowych zasad, od estetycznego abecadła. Improwizuje dwójka ochotników, a reszta sali podpowiada. Sytuacja najprostsza, rekwizyty najprostsze, słowa jeszcze nie ma, a już dziesiątki możliwości i setki wariantów. Męczy się „pan reżyser" z „panią aktorką", **a to „błąkanie przed startem" najjawniejszym i dostatecznie sugestywnym jest dowodem dla wszystkich..." że teraz nie umiemy po prostu dogadać się ze sobą językiem sztuki", tak jak nie umieliśmy się ze sobą po ludzku porozumieć.** Trzeba było odrobiny doświadczenia, aby jasna stała się ta prawda. **I aby wreszcie wkradła się integracja.**

Oto znany w całym obozie ironista-reżyser dziękuje wszystkim już bez ironii za „wspaniałą lekcję". A ktoś inny powiada:

— Po niej zrozumiałem, że udział nas, reżyserów, w waszych zajęciach szkolnych, w pracy aktorów jest po prostu konieczny!

FILM

SZANSE I TRUDNOŚCI

Jak wiadomo, gwałtowny rozwój telewizji w pierwszych latach jej istnienia zakłócił w sposób bardzo poważny wewnętrzny rytm życia kinematografii. Wiele najpotężniejszych stanęło wobec wielkiego kryzysu, co było jeszcze jednym dowodem przedziwnego, jeśli oceniać w skali tradycyjnych rozważań o obliczu i funkcjach sztuki, współistnienia w twórczości filmowej elementów czysto artystycznych z elementami przemysłu rozrywkowego. Te drugie pozwoliły w stosunkowo szybkim czasie zażegnać zło grożące kinematograficznemu biznesowi. Produkcja ruszyła na nowo. Czas wielogodzinnych emisji telewizyjnych, pomnożonych przez ilość kanałów (używając zaś naszej nomenklatury — programów) wymagał wypełnienia małego ekranu ogromną ilością filmów. Początkowo eksploatowano stan posiadania kinematografii, to jednak szybko przestało wystarczać. Telewizja zaczęła zamawiać filmy dla swych własnych potrzeb — wytwórnie filmowe na całym świecie odżyły, miano znów pełne ręce roboty. I tak już pozostało.

W odmienny sposób, zważywszy bazę produkcyjną naszej kinematografii, proces ten przebiegał u nas. Niemniej ogromny procent tych filmów, wobec których zwykło używać się określenia — „telewizyjnych", powstaje u nas za pomocą sił twórczych i produkcyjnych kinematografii. Zamówienia Telewizji Polskiej wpłynęły na ożywienie twórczości filmowej w tym głównym sensie, że w znacznym stopniu rozwiązały problem debiutu, zwłaszcza fabularnego, który jest stałą i ciągłą bolączką naszego kina. Dziś debiutant stukając do drzwi TVP, ma szansę znacznie wcześniej zademonstrować swe umiejętności zawodowe czy nawet talenty artystyczne, niżeli wówczas, gdy ustawi się w kolejce do debiutu kinematograficznego. Mówią o tym cyfry i plany produkcyjne — rok 1978 ma na przykład przynieść 300 krótkich filmów fabularnych zrealizowanych dla telewizji.

No, właśnie — krótki film fabularny, ta konwencja gatunkowa, odpowiadająca literackiej noweli czy opowiadaniu, przeżywa w czasach telewizji swój rozwój i znakomicie sprawdza się w tej właśnie formie przekazu. Przywołanie w tym miejscu tradycji literackiej każe przypomnieć jednak, że nowela i opowiadanie, należąc do najkunsztowniejszych form epickich, stawiają przed ich twórcami nie lada wymagania. Jeśli zważymy, że owa krótka forma fabularna odznaczać się musi dużymi walorami kompozycyjnymi, precyzją narracji, wyrazistością postaci, szczególnym napięciem dramatycznym, w którym tak istotną rolę pełni puenta, to prawdą jest, że debiut artystyczny w tym właśnie gatunku nie należy do najłatwiejszych.

Przyczyną, dla której tych kilka spostrzeżeń i uwag przywołałam pamięci czytelników jest jeden z licznych w TVP prezentowanych filmów telewizyjnych, a więc film Henryka Tadeusza Czarneckiego **„A JEŚLI BĘDZIE JESIEŃ"**, zrealizowany w Zespole „Profil". Przepraszam za brak skromności, ale potwierdza on słuszność wyżej sformułowanych uwag i opinii. Jest dowodem szansy, jaką telewizja daje i dowodem trudności, jakie ta forma fabularna sprawiać może.

Film „A jeśli będzie jesień" podejmuje jeden z istotniejszych problemów życia społecznego, rozpatrywanych w perspektywie psychologicznej, moralnej i obyczajowej — problem starości. Przez film ten przewijają się pytania — jak żyć, czym to życie wypełnić, gdy wkroczy się już w smugę „jesieni". Czy można poprzestać na przeżywaniu tego, co było, czy można jeszcze prowadzić życie aktywne czy jest się jeszcze komuś potrzebnym. Główni bohaterowie filmu reprezentują różne wobec tych pytań postawy. Starszy pan (przemyślana ciepła kreacja **Janusza Paluszkiewicza**) nie ucieka od życia aktywnego, swą zawodową i kombatancką przeszłość, związane z nią doświadczenie spożytkowuje dla dnia dzisiejszego — znajduje w tym radość i satysfakcję, czuje się potrzebny. Jego żona (ostatnia, niestety rola filmowa **Jadwigi Andrzejewskiej**) ucieka w świat swych marzeń, buduje fikcję, która staje się udręką nie tylko dla męża, ale i dla niej samej. Tyle przesłanie filmu, który w sposób oczywisty opowiada się po stronie postawy starszego pana.

Przesłanie to wynika z samej fabuły filmu i sposobu prezentacji postaw pary bohaterów — wobec jego idei trudno zgłaszać zastrzeżenia. Budzą je jednak same szczegółowe rozwiązania fabularne i sposób ich przedstawienia: rzutują one w sposób decydujący na ogólną ocenę filmu.

Wspominałam wyżej o szczególnej funkcji puenty w noweli literackiej. Puenta w filmie Henryka R. Czarneckiego niszczy to, co z takim wysiłkiem budowane było w czasie całej opowieści — sympatię czy tylko zrozumienie dla problemów życia pary bohaterów. Ów pies, który ma nie tylko pogodzić oboje, ale dla żony stać się szansą przemiany jej życiowej postawy, to straszny pomysł, jeśli w jego kontekście tkwi pamięć o człowieku, który odebrał sobie życie. Aktu ekspiacji tu nie ma i być nie może, to chyba naturalna reakcja moralna widza filmu, rozmijająca się niestety z intencjami jego autorów.

Pisałam też wyżej o cechach narracyjnych i kompozycyjnych krótkich form fabularnych. Film „A jeśli będzie jesień" grzeszy nie tylko ich brakiem. Filmowi brak prostej przyczynowo-skutkowej jasności narracyjnej, co bywa w wielu dziełach współczesnej epiki ich walorem, ale nie w tym filmie.

Uważam także, że bogacenie życia społecznego i obyczajowego nie musi odbywać się drogą sumowania stereotypowych sytuacji i postaci. A jeśli już, zdaniem autorów filmu, służyć ma to realizmowi relacji, to na cóż w niej deformujące, za sprawą operatora, ową realną rzeczywistość obrazy (vide — krzywe domy w czasie powrotu pary bohaterów świtem do domu). O zależności formy i treści uczymy już najmłodsze dzieci.

Puentując te uwagi, muszę skonstatować, że grzechy filmu „A jeśli będzie jesień" mają swe źródła zapewne i w tym, że zbyt długie oczekiwanie na debiut prowadzi do kumulacji marzeń twórczych, którym trudno później, w momencie ich realizacji, narzucić dyscyplinę, tę, której wymaga konwencja krótkiej fabuły.

EWA NURCZYŃSKA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NIE KAŻDY MUSI KOCHAĆ KOMENDANTA...

Rys. Janusz-Szymański-Glanc

Jest w tym dziwny urok. Nieuchwytny dla tych, którzy w fabryce bywają tylko w dzień. Szczególnie jest to wyczuwalne w ciepłą, cichą noc. Kiedy wiatr nie porusza liśćmi, a z daleka, przez otwarte okna i drzwi dochodzi szum maszyn. W nocy nie cała fabryka pracuje. Niektóre oddziały, biura, magazyny, transport pracują tylko na jedną, tak zwaną dzienną zmianę. Już po południu część fabryki zamiera. Ruch jeszcze jest spory, ale nie ma już tego porannego zgiełku. Krążą jeszcze wózki. Wyjeżdżają ostatnie samochody z towarem. Kręcą się ludzie. W nocy tego wszystkiego nie ma. Pusto i cicho.

Tej lipcowej nocy, kiedy Bolesław Rupniewski ruszył w swój kolejny obchód fabryki, mżył drobny deszczyk. W dzień solidnie popadało, jak przystało na deszczowy lipiec. Można było spodziewać się, że i w nocy będzie lało. Na wszelki wypadek wziął więc przeciwdeszczowy płaszcz i teraz było mu gorąco, bo noc była ciepła, parna. Trudno się temu dziwić. Po deszczu było przecież, a to lipiec.

Szedł tak jak zawsze, jak chodził przez całe dwadzieścia pięć lat. Najpierw do starej fabryki, a potem z powrotem do „centrali", gdzie obchód zaczynał od strony południowej, tam gdzie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Feliksa Dzierżyńskiego, zwane też w w skrócie „Eskimo", dotykały domów przy ulicy Sieradzkiej, i gdzie przez te dwadzieścia pięć lat zdarzały się różne rzeczy dziwne i niebezpieczne.

Nocna zmiana pracowała już pełną parą. Była to pora, kiedy noc jeszcze nie dawała się ludziom we znaki, kiedy jeszcze nie przychodziło znużenie, sen nie wciskał się pod powieki. Noc w fabryce ma dziwny urok, ale nie dla tych, którzy stoją przy maszynie. Oni myślą tylko o tym, aby noc skończyła się jak najprędzej, aby już było rano i zaczęli przychodzić ludzie na ranną zmianę, aby już mogli wracać do domu i wreszcie położyć się do łóżka. Jemu jednak nie spieszyło się. Dla niego noc miała swoisty urok.

Nie spieszył się więc. Miał przed sobą całą noc. W portierni powiedział do Stanisława Kustrzepy, który akurat miał wartę:

— Panie Kustrzepa zapomniałem wziąć latarkę. Pożycz pan swoją!

Kustrzepa popatrzył zdziwiony. Nie zdarzyło się jeszcze, aby Bolesław Rupniewski przyszedł do fabryki bez własnej latarki. A przez te dwadzieścia pięć lat przychodził na nocny obchód często. Czasem i trzy razy w tygodniu. A czasem tylko raz. Stanisław Kustrzepa popatrzył na Rupniewskiego jeszcze raz i powiedział:

— Po co panu latarka. Przecież pójdziemy razem.

— Nie — powiedział Rupniewski. — Dziś pójdę sam.

Stanisław Kustrzepa zdziwił się jeszcze raz. W nocy od lat chodziło się w dwójkę, czasem w trójkę. Ale Bolesław Rupniewski tej nocy chciał być sam. I Stanisław Kustrzepa nie od razu mógł to zrozumieć.

Ktoś zastukał do drzwi portierni. Portier Bronisław Frankiewicz podniósł się z krzesła i poszedł otworzyć drzwi. Weszło dwóch milicjantów z jakimś lekko zataczającym się mężczyzną.

— Co się stało? — zapytał portier.

— Nic — odpowiedział wyższy z milicjantów. — Trochę rozrabiał. Trzeba go spisać.

To nie należało do uroków nocy, ale często się zdarzało. Milicja sprzątała niedobitków wieczornych libacji w pobliskiej knajpie.

— Pójdę najpierw do starej fabryki — powiedział Bolesław Rupniewski i wyszedł na ulicę Piotrkowską.

JAN WILCZEK UCZY SIĘ

Stara fabryka leży po drugiej stronie ulicy Piotrkowskiej między wodami Jasieni rozlewającej się tu w mały staw, z którego w dzień tryska fontanna, a Centralnym Muzeum Włókiennictwa. To właśnie tu zaczęła się historia fabryki Ludwika Geyera, która dziś zwie się „Eskimo". Stara fabryka i muzeum mają wspólne podwórko a i portiernie obu ściśle do siebie przylegają. Muzeum już powinno dawno zabrać starą fabrykę. Ale stara fabryka jest jeszcze potrzebna „Eskimo". Potrzebna będzie tak długo nim na Smulsku nie powstanie nowa fabryka. W starej fabryce są teraz magazyny, szkoła przyzakładowa, wzorcownia i kilka maszyn, które pracują tylko na jedną, dzienną zmianę. W starej fabryce w nocy jest pusto, cicho i ponuro. I dlatego starą fabrykę trzeba w nocy obchodzić szczególnie uważnie.

Zastukał do drzwi portierni. Jan Wilczek, który tej nocy miał dyżur w starej fabryce, odłożył książkę. Pokuśtykał do drzwi. Uchylił je i ucieszył się.

— A to pan, komendancie!

— Jak zdrowie, panie Wilczek?

— Dziękuję, nie narzekam.

Jan Wilczek ma chore nogi, więc go dano do najspokojniejszego oddziału, do starej fabryki. A Jan Wilczek czasu nie traci i choć ma już 53 lata, zapisał się na roczne technikum włókiennicze.

— Jak idzie panu nauka? — zapytał Bolesław Rupniewski.

— Też dziękuję. Dobrze. Bardzo mi się ta nauka przydaje. W głowie rozjaśnia. Tyle sobie rzeczy przypominam i tyle się nowych dowiaduję.

— Co na oddziale?

— Spokojnie.

— Pójdę zobaczyć, czy wszystko w porządku.

— Mokro, panie komendancie. Pada trochę.

— Kropi, ale ciepło.

Deszcz jakby ustawał. Na betonie leżały bele bawełny przygotowanej już do produkcji. Przyjrzał im się uważnie. Czy nad którąś nie unosi się smuga dymu. Bo to właśnie tak się zaczyna. Poświecił latarką. Bateria już się Kustrzepie w latarce wyczerpuje — pomyślał — trzeba mu będzie o tym powiedzieć, niech sobie wymieni.

Wtedy też tak było. Niejeden raz zresztą. Niby wszystko w porządku — myślał — ale ta smużka dymu sygnalizuje, że w beli dzieje się coś niedobrego. Kto to wtedy miał obchód? — usiłował przypomnieć, ale pamięć podsuwała tylko obraz wydarzenia. Coraz trudniej z tymi nazwiskami — skonstatował w myśli. Pamięć już nie ta, chociaż jeszcze tyle się pamięta. Więc wtedy też unosiła się struzka dymu i wartownik zaalarmował straż pożarną. Odsunęli pozostałe bele, a kiedy ruszyli tę tlącą się, buchnął płomień. W środku była już całkowicie wypalona. Co by to było, gdyby strażnik w porę nie dostrzegł dymu — aż się wzdrygnął na myśl o tym. Całe dobro diabli by wzięli. I na dodatek muzeum... Muzeum niedawno się zresztą paliło. Nielichy to był pożar, ale nie z naszej winy.

Zasapał się wchodząc na górę. Piętra tu wysokie. Mury grube. Powiadają, że na siarkę murowane. Stawiane jeszcze w ubiegłym wieku. Na górze jest szkoła. To tu kiedyś grasowała banda młodych rabusiów. Grasowała w całym mieście, a tu wreszcie wpadła.

Stanął przed drzwiami szkoły. Sprawdził, czy zamknięte. Zaświecił do środka przez okrągły otwór w żelaznych drzwiach. Wszystko było w porządku.

A tych młodych to złapali dlatego — przypomniał sobie — że wcześnie musieli być w łóżkach. Rabowali tylko szkoły i to przed dwudziestą. To nasunęło milicji trop. Poszli tym tropem i nakryli całą grupę młodocianych złodziei. Teraz tu już spokój.

Jan Wilczek dalej czytał swoją książkę.

— W porządku? — zapytał.

— W porządku — powiedział Bolesław Rupniewski. — Spokojnej nocy.

— Do widzenia, komendancie!

ZEGAR

O tej porze ulicę Piotrkowską w tym miejscu można przejść zupełnie spokojnie. Gorzej tu jest w dzień, kiedy ruch w całej pełni. Trzeba bardzo uważać. Niejeden tu już o mało co nie wpadł pod samochód. Szczególnie jak ludzie z fabryki wychodzą. Tłum się wtedy robi przed portiernią. Jedni czekają na drugich. Jeszcze kilka słów na pożegnanie, na dokończenie rozmowy wcześniej zaczętej. Więc szerokie pasy wymalowano na asfalcie, aby nie tylko ludzie uważali, ale i samochody i tramwaje. W nocy nie trzeba uważać. W nocy Piotrkowska pusta.

Drzwi do portierni otwarte. Milicjantów i birbanta już nie ma. Może go zabrali do izby wytrzeźwień, choć na takiego pijanego nie wyglądał. Różnie to przecież bywa. Frankiewicz z Kustrzepą słuchali radia. Nocny program w sam raz dla portierów. Sen odgania.

Bolesław Rupniewski spojrzał na zegar. Dochodziła północ. To był właśnie ten zegar, na który tak lubił patrzeć, bo z nim wiązały się wspomnienia. To był zegar, który kiedyś sprzężony był z maszyną do odbijania kart obecności. Maszyna się skończyła. Zegar spisano na straty i postanowiono wyrzucić. Ale Bolesław Rupniewski, który bardzo lubił zegary, obejrzał go dokładnie i stwierdził, że ma tylko uszkodzoną sprężynę. W fabryce był jeszcze jeden taki miłośnik zegarów. Zwąchali się dawno, jak to bywa z hobbistami, którzy potrafią odnaleźć się nawet w korcu maku. Postanowili zegar zreperować. I zreperowali. Fabryka ponownie „wzięła go na stan" i zegar chodzi. Będzie jeszcze chodził długie lata. A ludzie, którzy o tym wiedzą, będą patrzyli na zegar i myśleli: pamiątka po Rupniewskim.

Bronisław Frankiewicz i Stanisław Kustrzepa patrzyli za nim, jak otwierał drzwi i wychodził w noc. Popatrzyli na siebie.

— Markotny coś nasz komendant — stwierdził portier.

— Ano — mruknął wartownik. — Ty też kiedyś będziesz markotny.

CZARNY KOT PRZEBIEGA DROGĘ

Ta część „Eskimo" nosi miano „Centrali". Rozciąga się na 19,5 hektarach, leżących między ulicami: Piotrkowską od wschodu, Czerwoną od północy, Sieradzką od południa i Wólczańską od zachodu. Pod spodem Jasień płynie, która w parku im. Władysława Reymonta w staw się rozlewa. A oprócz starej fabryki położonej po drugiej stronie ulicy Piotrkowskiej nad stawem, jest jeszcze oddział przy ulicy Rzgowskiej — dawna przędzalnia im. Czesława Szymańskiego i oddział przy ul. Wróblewskiego. „Centrala" jednakże jest największa i najstarsza. Niektórzy twierdzą, że to już muzeum a nie fabryka i Centralne Muzeum Włókiennictwa powinno ją przejąć. Ale stara geyerowska fabryka pracuje, produkuje i ludzie się do niej przywiązali.

„Centrala" wkomponowana jest w miasto. Od ulicy Wólczańskiej przylega do stadionu „Tęczy". Od ulicy Sieradzkiej — do domów mieszkalnych, podobnie jak i w części ulicy Piotrkowskiej i Czerwonej. Równolegle do ulicy Piotrkowskiej rozciąga się wykończalnia. Zasmradza ten kawałek Piotrkowskiej, szczególnie latem, kiedy pootwierane są fabryczne okna. W pobliżu tych okien jest przystanek. Ludzie, czekając na tramwaj, zaglądają do wnętrza, ciekawi jak też robi się tkaniny. Bolesław Rupniewski przypomniał sobie, jak to kiedyś oprowadzając kogoś po fabryce, zaszli do wykończalni. Stanęli przy maszynie, która jest położona wzdłuż okien na ulicę Piotrkowską wychodzących, i ludzie przez okna na robotę patrzyli ciekawie. Majster się wtedy zjawił i Bolesław Rupniewski zażartował:

— Załogę mamy solidną — powiedział — okna możemy spokojnie otwierać.

Ale majster żartu nie zrozumiał:

— Szczególnie, kiedy są dobrze zakratowane — powiedział.

Rupniewskiemu głupio się wobec gościa zrobiło. Tym bardziej, że to on miał rację, bo załoga rzeczywiście znacznie sporządniała. Wydorośleła — można powiedzieć — dojrzała. Pewnie, że jeszcze zdarzają się ludzie łasi na społeczne dobro. Ale od czego oni są strażnicy? Od tego też, aby ludziom do rozumu przemówić. Ileż to razy tego i owego wzywało się do biura i tłumaczyło: — Po co to robisz? Bierzesz za grosze a tracisz opinię, trzynastkę, czasem pracę. Zastanów się dobrze, czy nie prościej do Rady Zakładowej się zwrócić, a ta bez trudności da zezwolenie na taki czy inny drobiazg w domu czy na działce przydatny. I ludzie zastanawiali się. Po rozum do głowy szli. Głupstw nie robili. Ale czy wszyscy? Bolesław Rupniewski powiedział niedawno: — 95 procent naszej załogi to ludzie uczciwi, do fabryki przywiązani. A tymi pięcioma procentami to już my się zajmiemy.

Kiedy więc zaczynał obchód nocny, to zawsze — po powrocie ze starej fabryki — szedł tędy, wzdłuż wykończalni na południe. Tak szedł i teraz. Nie spieszył się. Czasu miał wiele. Cała noc była przed nim. Szedł wolno, uważnie patrząc wokoło.

I wtedy czarny kot przebiegł mu drogę. Kiedyś nie było w „Eskimo" kotów. Ale były za to szczury. Teraz są koty, nie ma szczurów. I nie ma w tym nic dziwnego... Ale ludzie nie wiedzieć czemu ubzdurali sobie — pomyślał — że jak kot przebiegnie drogę, to przynosi nieszczęście. Trzeba wtedy poczekać, aż ktoś inny przejdzie zaczarowaną przez kota drogę. Ileż bym musiał czekać? Ludzie zajęci pracą. Czekałbym do rana, aż przyjdzie poranna zmiana. Dobre sobie Przechodziłem więc zaczarowaną przez kota drogą i nic mi się złego nie stało. Nieszczęścia w fabryce zdarzały się nie wtedy, kiedy kot przebiegał drogę. Ludzie polubili koty. Dokarmiają je. Strażnicy też dokarmiają koty, choć tylko licho wie, ile jest ich w fabryce. Bo koty są sojusznikami strażników. Pilnują fabrycznego dobra przed szkodnikami, przed myszami i szczurami.

Czym kiedyś pomyślał, że w lipcu 1977 roku będę w nocy szedł przez zakłady „Dzierżyńskiego" i wspominał swoje tu spędzone życie? Czym przypuszczał, kiedym kładł parkiety w czasie okupacji i to mnie uratowało przed wywiezieniem na roboty, albo i przed czymś gorszym? Czym myślał o tym w 42 pułku piechoty I Armii Wojska Polskiego, kiedyśmy stali nad Nysą?

W 1946 roku Bolesław Rupniewski wrócił do Łodzi. Przed wojną działał w OM TUR. Dawni koledzy przyjęli go serdecznie i szybko do pracy skierowali. — Z wojska wróciłeś — powiedzieli — granicy nad Nysą strzegłeś, to do służby wartowniczej idź. Poszedł. Najpierw pilnował zakładów im. T. Głażewskiego. Na początku 1952 roku wezwano Bolesława Rupniewskiego do Miejskiego Inspektoratu Ochrony Przemysłu.

— Słuchajcie, Rupniewski — powiedział major Niewiadomski — mamy dla was propozycję. Chcemy postawić was na komendanta w bawełnie. Potrzebny jest komendant w zakładach „Dzierżyńskiego". Pójdziecie tam.

— Czy mogę się nad tym zastanowić?

— Tu nie ma się nad czym zastanawiać. Ale dobrze. Pomyślcie do jutra. Jutro dacie odpowiedź.

Zgodziłem się wtedy — wspomina Bolesław Rupniewski idąc wzdłuż wykończalni. Geyerowska fabryka nosiła już imię Feliksa Dzierżyńskiego. Przyszedłem tu 23 stycznia 1952 roku. Poszliśmy z moim poprzednikiem obejrzeć fabrykę. Inna to była fabryka, choć mury te same. Nie wszystkie zresztą. Inna fabryka. Inni ludzie. Ten dzień, 23 stycznia 1952 roku głęboko zapadł mi w pamięć. Chodziliśmy po oddziałach. Nie orientowałem się zupełnie w tej plątaninie. Ale pamiętam, że było to w tkalni. Kiedyśmy weszli, rozległy się gwizdy.

— Dlaczego oni gwizdali? — zapytałem naiwnie poprzednika.

— Na nas gwizdali.

— Na nas?

— No, na mnie.

To było dla mnie ostrzeżenie. To była przestroga, abym tak postępował, żeby na mnie nie gwizdali, kiedy będę stąd odchodził. Czy mi się to udało?

A przecież różnie było przez te dwadzieścia pięć lat. W fabryce nie było czarnych kotów i nie miał kto ostrzegać przed niebezpieczeństwem. A niebezpieczeństw było sporo. Ludzie nie szanowali społecznego dobra. Społeczne, to było niczyje. Kiedy modna była popelina, to kradli popelinę. Wtedy to nas majster Wojtynia ostrzegł. Sam zresztą skoczył przeciw trzem, co przygotowaną popelinę przez płot wyrzucali. Po głowie dobrze dostał, ale jednego rozpoznał. I dzięki temu dwóch pozostałych się odnalazło. Wszyscy wpadli.

Ale sami byśmy niewiele

zdziałali. Ludzie nam pomogli, bo zrozumieli, że wspólnego dobra pilnujemy. Tak właśnie było przed tkalnią, kiedy nas zaalarmowano, donosząc, że trzej intruzi przez płot do fabryki się dostali. Pobiegliśmy. Wartowników zawsze uczyłem: nie atakować pracowników, nie wdawać się w bójki. A ci, choć z obcymi mieli do czynienia, nauki nie zapomnieli. Ludzie właśnie wtedy z tkalni wychodzili. Kobiety do mężczyzn zawołały: — Pomóżcie strażnikom! I tkacze pomogli. Intruzów obezwładniliśmy i milicji oddali. Tak to się zaczynało.

A teraz? Losowa kontrola na portierni. Idzie robotnik i guzik naciska. Zielony — przejście wolne, bez rewizji. Czerwony — los cię wyznaczył. A ściślej automat. Mądra maszyna. Jakeśmy to wprowadzili, to ludzie się strasznie dziwowali. Jedna kobieta, dusza-człowiek, porządna z porządnych, ale akurat tego dnia trochę celofanu wzięła do weków. W torebce go miała i maszyna ją wybrała, czerwone światełko przed nią zapaliła. A kobieta w płacz. Trzęsie się cała. Celofan pokazuje i tłumaczy, że to przecież skrawki, nikomu niepotrzebne. — To trzeba było powiedzieć — mówią jej strażnicy. Dali jej ten celofan. Niech sobie do weków weźmie Ale opinia o zmyślności maszyny pozostała. A my jak chcemy, jak na kogo mamy podejrzenie, to i maszyną tak potrafimy pokierować, że tego a nie innego do kontroli właśnie wybierze.

Czego tu nie było, jakem nastał? — zastanawia się Bolesław Rupniewski. Nie było nowego bielnika, farbiarni, magazyny były stare, nie było draparni. Nie było wielu maszyn. Kocie łby były na fabrycznych podwórkach. A teraz trylinka, asfalt. Nie było wentylacji w halach fabrycznych. Płoty wokoło były drewniane. I był wielki, biały komin górujący nad ulicą Piotrkowską.

PŁOT Z KOMINA

Ten komin rozebrali chyba w... Znów nie pamiętam w którym to było roku. Ale było to po uruchomieniu elektrociepłowni miejskiej. Wtedy fabrykę podłączono do elektrociepłowni i fabryczna kotłownia stała się zbędna. Komin więc rozebrali, a ja zaproponowałem, aby z kominowych cegieł płot zbudować od ulicy Czerwonej. Zapalił się do tego mistrz murarski Józef Andrzejczak. — Ja ci to Rupniewski zrobię — powiedział — boś ty porządny chłop. Ale przecież nie mnie to robił. Zmarło się już biednemu. Wykruszają się ludzie powoli...

Zamyślił się Bolesław Rupniewski i ani się spostrzegł, jak już dawno wykończalnię minął i znalazł się w zachodniej części fabrycznego terenu, przy garażach i magazynach. Wstecz się obejrzał, jakby na minione lata patrzył. Szum fabrycznych maszyn został w dali. Był teraz w najbardziej ponurym kącie fabrycznego majdanu. Tu można było po łbie oberwać od kogoś zaczajonego za węgłem lub w zaroślach. Zdarzyło się to już niejednemu wartownikowi. Dlatego w dwójkę lub w trójkę chodzili nocą. Ale teraz Bolesław Rupniewski już się nie bał. Nie te czasy, nie ci ludzie, choć nie pięć tysięcy aniołów w „Eskimo" pracuje. Zwyczaj chodzenia w dwójkę czy w trójkę jednak pozostał. Dopiero teraz go złamał i sam poszedł.

Postał chwilę, popatrzył. Latarką bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby poświecił. O ludziach pomyślał. Ludzie w fabryce zmienili się. O pracę i opinię zaczęli dbać. A przecież w Łodzi powstają nowe fabryki. Budują się szybko. Daleko wprawdzie, bo aż na Teofilowie czy na Dąbrowie, ale naszych z „Eskimo", tam ciągną. A ludzie tam niechętnie idą. Niektórzy jednak połaszczą się na nowoczesne maszyny i wyższe zarobki, a potem przychodzą i ze łzami w oczach proszą: — Weźcie z powrotem, tam może i lepiej, ale ludzie inni, nie tacy jak tu.

Coś jest w tej starej załodze „Dzierżyńskiego", że się kupy razem trzyma. Tyle lat tu ludzie ze sobą pracują, zżyli się, poznali. Średnia wieku wysoka. Czterdziestki sięga, a na niektórych wydziałach to i czterdziestkę przekracza. Na młodych ma to dobry wpływ. Uczy ich szacunku do pracy. A młodzi nie zawsze umieją pracę szanować.

Uśmiechnął się do swoich wspomnień, bo mu się Antoś ślusarz przypomniał. Antoś pracuje w warsztacie mechanicznym. Warsztat nie ma etatowej sprzątaczki, więc Antosiowi tę rolę zaproponowano. W zamian za premię uznaniową. I Antoś warsztat sprząta, ale się z niego koledzy śmieją i go Antosiową nazywają, bo gdzież tam do poważnego fachowca miotła pasuje. Aż Antoś się rozeźlił. Do dyrektora poszedł i powiedział, że może sprzątać warsztat, ale za stałą zapłatę, a nie za jakąś tam premię, co to raz mu ją mogą dać, a innym razem nie. I jeszcze na kolonie napsioczył, że mu dziecko anginę dostało i należytej opieki nie miało.

Wezwali mistrza do dyrekcji i pytają o Antosia:

— Jaki on pracownik?

— Dobry — powiada mistrz tylko chwilę słabości miewa.

— Choruje? — zaniepokoił się dyrektor.

— Nie, żeby chorował — wyjaśnia mistrz i się uśmiecha.

— No, to jakie może mieć chwile słabości? — dziwi się dyrektor.

— Alkoholowe — wyjaśnił wreszcie mistrz.

ŁUNA NAD PIOTRKOWSKĄ

Deszcz przestał mżyć. Zrobiło się jeszcze bardziej parno. Rozpiął więc płaszcz Jeszcze raz stwierdził, że za ciepło się ubrał na tę noc. Ale niech tam. Trudno. Wygodniej jednak mieć płaszcz na sobie niż go na ręku nieść. W niebo spojrzał. Od strony ulicy Piotrkowskiej neon z poczty przy Placu Władysława Reymonta chmurne niebo jaskrawo oświetlał. Aż się przestraszył, choć do tego widoku dawno już przywykł. Ale czerwone niebo zawsze mu tamten pożar przypomniało. To właśnie tu gdzieś ta wiata stała. Tu, gdzie teraz laboratorium stoi, a w głębi — za laboratorium — szumi maszynami elektryczna tkalnia.

Kiedy to było? — usiłował sobie przypomnieć. Strażnik nazywał się chyba Olasik. A było to albo w 1953 albo w 1954. Nie mam już pamięci do dat — pomyślał. Wszystko się jakoś tłamsiło, poplątało. Te dwadzieścia pięć lat wydają mi się jakby jednym dniem były, jedną chwilą. Pamiętam tylko, że na Piotrkowskiej wtedy mieszkaliśmy. Strażnik pożar zauważył dokładnie o 1.25, a mnie obudzono o 1.30, Do fabryki wpadłem w domowych pantoflach. A strażnik — Pawlak, zmarło się już biedakowi, niech mu ziemia lekką będzie — powiedział wtedy: — komendancie, tkalnia elektryczna pali się.

Jak wartownik zobaczył pożar, to w gong bił, ale gong się urwał. Pobiegł więc do straży i straż zaalarmował. Siedemnaście oddziałów straży zjechało do „Dzierżyńskiego". A łunę to widać było z odległości piętnastu, dwudziestu kilometrów. Ale tkalnia się nie spaliła. Gdyby strażnik zaalarmował straż pożarną o piętnaście minut później, to by tkalnia elektryczna też się spaliła. Ogień wszystkie szyby w niej wywalił. Od gorąca powypadały, a żar bił aż do środka tkalni...

Tu przyszła refleksja. Dlaczego tkalnia elektryczna tak właśnie się nazywa, skoro w niej jeszcze część krosien pasy transmisyjne poruszają. Wszedł więc do środka. Huk potworny go ogarnął. Minął maszyny transmisją poruszane i podszedł do tych, które już własne silniki elektryczne posiadały. Zobaczył tam kierownika zmiany — Michała Wilka. Podszedł więc do niego i w ucho mu krzyknął:

— Zapytać o coś chciałem!

— To chodźmy gdzieś, gdzie ciszej — odkrzyknął mu Michał Wilk i w kierunku magazynu osnów poprowadził. Dziwił się trochę, czego to może od niego po nocy komendant chcieć. Czyżby coś w tkalni było nie w porządku?

— Czy pan nie wie, dlaczego ta tkalnia elektryczną się nazywa, bo ona tak już od dawna się nazywa.

— Od przed wojny jeszcze — potwierdził Michał Wilk.

— No właśnie. Ale dlaczego?

— Dokładnie nie wiem. Może dlatego, że jak ją wybudowano, to własny napęd elektryczny posiadała, który poruszał pasy transmisyjne. A dlaczego pan pyta?

— Tak sobie. Z ciekawości. Jakoś przez dwadzieścia pięć lat nie przyszło mi do głowy, aby kogoś o to zapytać.

DO WIDZENIA KOMENDANCIE

Północ już dawno minęła, zaczął się nowy dzień. Ale dla Bolesława Rupniewskiego ciągle to była ta sama noc. Poszedł wolno wzdłuż płotu, który z kominowej cegły mistrz murarski Józef Andrzejczak postawił. Zajrzał za przędzalnię, gdzie kiedyś psa na długim sznurze trzymał, ale ludzie się na psa boczyli, więc trzeba go było wydać. Popatrzył na mur od strony domów przy ulicy Piotrkowskiej przez wózki potłuczony. Nie uważają — pomyślał — albo celowo tak robią. Tylko po co? I już był przed budynkiem biurowym.

Na portierni Stanisław Kustrzepa z Bronisławem Frankiewiczem dalej radia słuchali. Może trochę drzemali, jak to w nocy na portierni, kiedy ciepło i nic się nie dzieje.

— Panie Kustrzepa — powiedział — bateria się panu w latarce wypaliła. Wymienić trzeba.

— Wymienię — potwierdził strażnik.

— Wszystko w porządku — powiedział portierowi i strażnikowi rękę na pożegnanie podał.

— Do widzenia, komendancie — powiedział portier.

— Spokojnej nocy — odpowiedział komendant i na ulicę Piotrkowską wyszedł.

— Głupiś pan — strażnik patrzył z wyrzutem na portiera.

— A to niby dlaczego mam być głupi. Sam pan głupiś.

— Nic pan nie rozumiesz — ciągnął spokojnie strażnik. — On się dziś z fabryką żegnał. To jego ostatnia noc w fabryce. Na emeryturę już poszedł. Pożegnanie dziś było. Od organizacji partyjnej dostał zegar, bo bardzo zegary lubił. Dwadzieścia trzy lata był w egzekutywie. Od nas dostał teczkę na pamiątkę. Panie, a ile kwiatów dostał, to chyba tyle panna młoda tylko na ślubie dostaje. Lubili go ludzie, bo porządny chłop był, wyrozumiały i dla nas i dla innych. Pracę cenił i każdego uważał. Ot dlaczegoś pan głupi z tym swoim: „do widzenia komendancie".

— A jak miałem mu powiedzieć — bronił się strażnik.

— Nic nie trzeba było mówić. Lepiej milczeć niż coś głupiego powiedzieć.

— Odczep się pan z tymi naukami — zdenerwował się portier. Ale Stanisław Kustrzepa nic już nie powiedział, tylko jeszcze raz na niego uważnie popatrzył. Usiedli, aby znów słuchać radia i trochę podrzemywać. Niedługo w fabryce zacznie się ruch, przyjdzie nowa zmiana.

A Bolesław Rupniewski przeszedł na drugą stronę ulicy Piotrkowskiej, zatrzymał się przy balustradzie odgradzającej wody Jasieni w stawek rozlane od ulicy i patrzył na światła odbijające się w wodnej powierzchni.

— Co teraz będziesz robił? — przypomniał sobie pytanie, jakie mu w ciągu dnia wielekroć zadawano. Co będę robił? Działkę mam. Na ryby będę częściej niż do tej pory jeździł. No i w ZBoWiDzie cieszą się, że więcej będę miał teraz czasu na społeczną działalność. Robić będzie co, tylko do fabryki człowiek się zbytnio przyzwyczaił.

— Co pan tu robi? — rozległ się nagle za nim głos.

Obejrzał się. Przed nim stali dwaj milicjanci, których tej nocy widział w portierni.

— A pan z Dzierżyńskiego — poznał go jeden z nich. — Do domu pan jedzie, po nocnej służbie. Niech się pan pośpieszy, zaraz będzie nocny tramwaj.

— Dziękuję.

I poszedł w kierunku przystanku.

III nagroda w Konkursie zorganizowanym z okazji 150-lecia Zakładów im. F. Dzierżyńskiego w Łodzi.

RYSZARD BINKOWSKI

SŁODKI TEMAT

Było to jeszcze we wrześniu, deszcz lał niemiłosiernie, toteż widząc pracujących w polu ludzi, zatrzymałem się i poszedłem kawałek miedzą. Pod butami chlupotało. Na czarnym, rozmiękłym polu leżały pokosy ściętych liści, kobieta i mężczyzna, ubrani w brezentowe peleryny i gumiaki, wyciągali z ziemi oblepione błotem buraki. Myte deszczem, żółciły się ich małe pryzmy, usypane na suchej, wyżej położonej miedzy.

— Warto się męczyć w taką psią pogodę? — zagadnąłem.

— Bozia podań nie przyjmuje — odburknął mężczyzna. — Spróbuj pan, może wysłucha.

— Takich buraków nie przyjmą w cukrowni — powiedziałem.

— Przyjmą, przyjmą! Mniej będzie płukania. Deszcz wymyje, a jak przyjdzie słonko, to przeschną.

— Ciekawe, jak pan je wywiezie.

Mruknął coś pod kapturem, otarł ręce o trawę na miedzy, pochylił się i osłaniając mnie połami peleryny od deszczu, sięgnął do podsuniętej paczki klubowych. Zapaliliśmy. Twarz miał silnie zaczerwienioną, krople wody spływały mu z policzków na brodę.

— Zocha — krzyknął — idź do obiadu, zaraz południe!

Kobieta odeszła w stronę wsi.

— Spieszy się pan — zauważyłem.

— Trzeba. Żyto jeszcze nie zasiane, kartofle w ziemi, jak się wszystko zwali, to nie wyrobię! A cukrownia potrzebuje na rozruch zapas surowca. Teraz dają premię od tony.

— Paskudna robota — stwierdziłem.

— Szlag by ją trafił! — wybuchnął. — Ale trzeba ręcznie, bo kombajnem chyba nie wjedzie. A jeszcze gorzej z transportem. Była umowa z cukrownią na odbiór surowca z pola, ale na naszą SKR cukrownia nie zawsze może liczyć.

— Wyjdzie pan na swoje?

— Ja tak! Takich liści na paszę jak w tym roku, to dawno nie było. Buraki też w normie, ale z cukrem będzie gorzej...

— Dlaczego?

Uśmiechnął się pobłażliwie, z błyskiem drwiny w niebieskich oczach.

— Brak słoneczka, proszę pana. Bez światła cukier się nie rodzi.

Było to we wrześniu, gdzieś w okolicach Grabowa w województwie konińskim. A 10 października, gdy wróciło lato i temperatura w słońcu sięgała 28 st. C, pojechałem do Leśmierza, aby sprawdzić, jak to naprawdę jest z tym cukrem.

1.

15 września o godzinie szóstej rano na punkcie odbioru surowca w Leśmierzu pojawiły się cztery pierwsze pojazdy z burakami, potem przyjechały dalsze. Kiedyś nagradzano pierwszych dostawców symbolicznymi kilogramami cukru, obecnie odstąpiono od tego, toteż pierwsi nie zostali nawet odnotowani. Ale był inny bodziec, dopingujący wszystkich plantatorów. Do 20 września za każdą dostarczoną tonę leciała premia w wysokości 250 zł; do 25.IX. — 200 zł, do 30 — 150 zł, a do 5 października — 100 zł.

Cukrownia była dobrze przygotowana do rozruchu, który miał nastąpić 20.IX., toteż najważniejszą sprawą było zabezpieczenie surowca. Dlatego moim głównym informatorem jest dyrektor d/s surowcowych, STANISŁAW LESYNG. Mógłby się czuć dzisiaj jak jakiś Radziwiłł, ponieważ współpracuje z ośmioma tysiącami plantatorów w czterech województwach: łódzkim miejskim, konińskim, płockim i skierniewickim.

— Rozruch nastąpił zgodnie z planem. Również zgodnie z planem przerabiamy buraki. Wczoraj (9.X.) odebraliśmy 250 ton surowca i mamy „regulaminowy" zapas na ponad dwie doby. W tej chwili pracują już wszystkie (7) punkty odbioru, m. in. nasz własny w Leśmierzu, Grabów, Witonia i Młynów oraz punkty w Skierniewickiem. Punkty są w pełnej i przeszkolonej obsadzie sezonowej.

— Cukrownia nie ma kłopotów z surowcem, chociaż warunki zbioru były bardzo ciężkie.

— Tak, przez to błoto na polach. Było i tak, że dwa ciągniki wyciągały jedną przyczepę z burakami. Zbiór odbywał się ręcznie, większość buraków ogławiano i wyorywano. Ale pozostałe buraki, przy słonecznej pogodzie, zbiera się mechanicznie. Każda SKR w gminie posiada enerdowskie kombajny typu „Kleine" lub kombajn francuski. Niemiecki może zebrać do 2 ha dziennie, francuski nawet 7 ha. Ale rolnicy wolą niemiecki, ponieważ francuski, strąca i tnie liście na sieczkę, pasza z takich liści jest gorsza.

— Po deszczach przyszły silne przymrozki.

— Nas to nie przeraziło. Do dziś buraki idą niemal prosto do przeróbki, mogą być podmarznięte, na jakość cukru to nie wpływa. Dopiero od 10.X. surowiec pójdzie do przechowalni. Teraz trzeba będzie uważać, segregować i selekcjonować. Bo jeśli chwycą przymrozki i do wielkiej pryzmy trafiłyby dwa wózki nadmarzniętych buraków, powstałoby ognisko zapalne i gnicie.

Przy wjeździe do cukrowni widziałem stojące na parkingu ciężkie samochody PKS, załadowane wysłodkami. Okazuje się, że kierowcy śpią.

— To z transportem tak źle?

— Dlaczego? Ci kierowcy pracują w nocy, po ostatnim kursie zostają załadowani, idą spać, a o osiemnastej znów ruszą w drogę. Umowa z PKS to jedna sprawa. W bezpośrednim wywozie surowca od rolników partycypuje SKR z Ozorkowa, mamy też umowy z SKR w okolicznych gminach, z których najlepsza jest Łęczyca. Ta ostatnia od czterech lat zwozi w czasie kampanii 25 tys. ton buraków. Do odbioru surowca od plantatorów zorganizowaliśmy również własny tabor samochodowy. Planowaliśmy nim odebrać 29 tys. ton, ale będzie chyba 35 tys. Korzystamy też z własnej kolejki wąskotorowej i kolejki PKP. Na raze wszystko idzie dobrze, nawala trochę Grabów, ale ta SKR nie decyduje o całości pracy. Spodziewamy się odebrać wszystkie buraki do 20 listopada.

Tak więc sprawdziła się część wypowiedzi rolnika, którego nawet nie spytałem o nazwisko, bo jak facet zziębnięty, zatyrany i wnerwiony, to nie ma się co bawić w prokuratora. SKR w Grabowie nawala, plantatorzy otrzymują premię, opłaca się uprawiać buraki. Jak bardzo się opłaca? I co z dalszą częścią wypowiedzi tamtego rolnika?

2.

Usłyszałem kiedyś opinię, że z chwilą podjęcia decyzji o samowystarczalności paszowej, wielu rolników zrezygnowało z hodowli. Byli i tacy, którzy uprawiali hektar buraków cukrowych, sprzedawali je i kupowali paszę. Potem to się ucięło. A więc drobni plantatorzy zniknęli? Przecież podwyżka cen na żywiec powodowała, iż hodowla bydła lub trzody chlewnej stała się intratniejsza.

— Uprawa buraka cukrowego daje również niezłe zyski — mówi Stanisław Lesyng. — Za kwintal buraka rolnik otrzymuje od 100 do 112 zł, w zależności od odmiany, na przykład buraki bardziej plenne są tańsze, bo wymagają mniejszego nakładu pracy. Z hektara można zebrać 400 q buraka. Co z tego ma rolnik, oprócz 40 tys. zł w gotówce? Ma około 400 q liści na kiszonkę i 200 q wysłodków...

Mój wniosek: dobry plantator, jeśli zasieje trochę mieszanek zbożowych i zbierze trochę siana, może z powodzeniem prowadzić dużą hodowlę bydła mlecznego lub opasów.

— Panie dyrektorze — zwracam się do Lesynga — przed trzema laty pokazywał mi pan zawieszony na drucie okaz 7-kilogramowego buraka.

— Tak, ale takie buraki zawierają mniej cukru.

— W tym roku największe są liście.

— Bo wskutek opadów przedłużyła się wegetacja. Przy opadach korzeń nie idzie w głąb, jest mniejszy, krótki i gruby. Ponadto cukier powstaje m. in. w wyniku asymilacji. Słońca było mało i polaryzacja jest o 0,6 mniejsza...

Mniejsza zawartość cukru. Będzie go więc mniej? Otóż nie! Trzeba jednak pamiętać o dwóch ważnych sprawach. Przemysł cukrowniczy jest dotowany, koszt produkcji 1 tonu cukru przewyższa o kilkadziesiąt procent cenę, jaką cukrownia uzyskuje przy sprzedaży. To dotyczy rynku wewnętrznego. A w świecie? Wprawdzie minęła hossa na cukier (tona szła za ponad 1000 dolarów) i cena spadła znacznie, ale nie na tyle, aby cukier nie mógł podreperować naszego bilansu płatniczego.

To, że cukru będzie pod dostatkiem, jest zasługą zarówno plantatorów jak i cukrowników. Cukrownia ponownie przejęła sprawę instruktażu od służb rolnych, ma na to specjalne fundusze. Propaguje nową technologię uprawy nasion jednokiełkowych o wysokim standardzie. Dotychczasowe nasiona pięciokiełkowe wymagały bardzo pracochłonnej przerywki. Ponadto kładzie się nacisk na sprawy pielęgnacji, oprysków, m. in. stosowanie herbicydów, które niszczą chwasty, nie uszkadzając buraków. Dzięki tym zabiegom obszar upraw (7.710 ha w roku ubiegłym) wzrósł do 8.060 ha.

Cukrownia powstała w 1838 roku. Była poruszana siłą wodną, od 1854 r. maszyną parową. Dziś jest w poważnym stopniu zmechanizowana. Posiada np. „Elfę", takie hydromechaniczne urządzenie do płukania surowca oraz cztery urządzenia do rozładowywania buraków, typu „Komplex". Tylko 15—20 proc. surowca rozładowuje się ręcznie, bo z furmanek inaczej się nie daje.

Mechanizacja, owszem, ale kiedy w październiku wraca lato, przy warnikach jest ponad 40 st. C i pocą się ludzie. W cukrowni z ludźmi trzeba jak z jajkiem. I dlatego nie zastałem dyrektora naczelnego, mgr IRENY HARGEZHEIMER. Pojechała do Łodzi załatwiać sprawy techniczne, związane z budową bloku dla stałych pracowników. Plan jest, kosztorys i fundusze również.

Przed trzema laty pani dyrektor narzekała na brak ludzi do pracy. To już taka szczególna specyfika roboty sezonowej, nic więc dziwnego, że w tym roku kłopoty są jeszcze większe. W sezonie cukrowniczym zatrudnia się głównie ludność rolnicza. Tegoroczne warunki atmosferyczne spiętrzyły roboty w polu i sezonowych zabrakło. Wiele stanowisk w cukrowni nie ma pełnej obsady. A mimo to zakład idzie pełną parą. Ludzie pracują na dwie zmiany, ofiarnie, po 12 godzin. Tacy jak CZESŁAW TOMCZAK, ANTONI OLSZEWSKI czy operator MARIAN KONIECZKA w „surowcach", albo WŁADYSŁAW MUCHA, majster na spławach i gotowacz I cukrzycy, JÓZEF SYPNIEWSKI, obaj z działu technicznego.

Bo żeby nam było słodko, oprócz bohaterów wielu kampanii, muszą jeszcze być bohaterowie kampanii cukrowniczej.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

SANTOS, ULICA ŚWIĘTOJAŃSKA

(KORESPONDENCJA Z BRAZYLII)

Dalszy ciąg ze str. 1

Złośliwi twierdzą, że Santos (zarówno Klub jak i miasto) bez Pelégo byłby pustym dźwiękiem. Jest to oczywiście paskudna przesada. Jakkolwiek zespół piłkarski rzeczywiście spuścił z tonu nie odnosząc sukcesów nawet w rozgrywkach stanowych, miasto ma wiele innych uroków i atrakcji, chociażby port i plażę, których nie posiada Sao Paulo, chociażby kolejkę linową, kursującą ze śródmieścia na wzgórze Morro Monte Serrat, skąd przy dobrej pogodzie rozciąga się widok na zatokę Baja de Santos i wyspę Guaruja. W Santosie leżące na wzniesieniach skupiska biedoty są proporcjonalnie miejsze niż w Sao Paulo — trudno je nawet nazwać favelami, gdyż obok rozpadających się domków znaleźć można całkiem schludne i solidne budyneczki, poprzekładane sklepikami i kawiarniami.

Dzieli się Santos na część starą i nową To pozornie mało odkrywcze spostrzeżenie nie jest pozbawione sensu, jeśli wziąć pod uwagę, iż Ameryka zupełnie nie przejawia szacunku do zabytków architektury. W takich miastach jak Porto Alegre, Rio de Janeiro, czy Salvador zburzono wiele ubiegłowiecznych i jeszcze starszych budynków tylko po to, żeby zastąpić je nowoczesnymi konstrukcjami. Brazylia nie znosi ponoć Stanów Zjednoczonych, jednakże w swych dużych i małych aglomeracjach jest do nich łudząco podobna Każde city jest jakąś tam kopią Manhattanu — im wyżej, im więcej szkła, aluminium i stali, tym lepiej.

Poznikały domki w stylu kolonialnym, w miejsce malowniczych tawern i zajazdów powstają masowo bary bez drzwi i stolików, o podłodze graniczącej szeroko z chodnikiem i podkowiastych bufetach, przy których jesz i pijesz na stojąco. Wszystko to sprawia, że w dużych miastach coraz trudniej nałykać się egzotyki i znaleźć jakiś kontakt z historią.

Stara, rozległa część Santosu nie szokuje żadnymi nadzwyczajnymi zabytkami, ale masz przynajmniej pojęcie jak to mogło wyglądać sto lat temu. Trochę jak Łódź. Proste, długie ulice; niewysokie kamieniczki przytulone szczelnie bokami tak, że tworzą dość jednostajny masyw na przestrzeni wielu kilometrów. Niektóre domy z ozdobnymi frontonami pomalowane są na niebiesko, inne na czerwono i zielono; tylko w Ameryce spotyka się takie kolory! Place, kościoły, urzędy pocztowe, pomniki i dworce liczą tu sobie co najmniej po kilkadziesiąt lat.

Najnowocześniejsza dzielnica Santosu, GONZAGA, wspiera się o zatokę a ściślej biorąc: o piaszczysty, plażowy brzeg, na którym w sezonie (grudzień, styczeń, luty) wylegują się tysiące ludzi z Santosu i Sao Paulo. Na autostradzie łączącej obydwa te miasta, opisanej już zresztą przeze mnie we wcześniejszym reportażu, panuje wówczas, w weekendy, potworny ruch — kilometrowe korki, godzinne przestoje, nieraz także, na stromych odcinkach drogi, gigantyczne katastrofy, w których zderza się ze sobą jednocześnie kilkadziesiąt samochodów. Stanowi to później żer dla miejscowej i światowej prasy.

Gonzaga nie jest wyjątkiem — ma swoje drapacze chmur, banki, biurowce, hotele i magazyny, drogie lokale i dyskoteki, jednakże bliskość morza łagodzi tę nowoczesność. O siódmej rano wytworne Mulatki spacerują po ulicach w karakułach, sobolach i kożuchach. Jest przecież lipiec. Zima! Jedyna okazja, żeby zaprezentować swoje futrzane okrycia. Rzecz jasna — w południe, kiedy temperatura osiąga trzydzieści stopni, powszechnym strojem są znowu koszulki i bluzki z krótkim rękawem.

O zmierzchu w Santosie zaczyna się bal. Wedle stawu grobla. Bogate towarzystwo okupuje Gonzagę, biedota ściąga do starej dzielnicy, wypełniając szczelnie rua General Camara.

W Brazylii wszystko jest święte (Santista, Santos, Sao); miasta, zatoki, góry, kluby, hotele i kawiarnie, albo są święte same z siebie, albo też biorą sobie za patrona kogoś o uznanej świętości. Tak jak Polska jest w założeniach krajem laickim, tak Brazylia i w ogóle cała Ameryka Południowa pozostaje bastionem chrześcijaństwa, z tą poprawką, że u nas kościoły są przepełnione a u nich puste Przymiotnik „święty" działa więc jak baldachim: zastępuje spowiedź i odpuszczenie...

Generał Camara nie był bynajmniej świętym Franciszkiem z Asyżu, jednakże ulica, której patronuje, zyskała sobie u marynarzy przydomek „Świętojańskiej". Biegnie ona równolegle z wybrzeżem portowym, mając jakiś czas charakter handlowy, który niepostrzeżenie przechodzi w charakter rozrywkowy. Zaczynają się bary: Casablanka, Scandynavia, Suomi, Tropicana, Porto Rico. Do niedawna był tu również bar Gdynia, lecz ostrożność polskich marynarzy kazała właścicielowi zmienić szyld.

Na Świętojańskiej znaleźć można wieczorami więcej pięknych dziewczyn niż w całej Europie. Murzynki, Mulatki, Metyski, Chinki i Malajki, a także zrobione na blond przedstawicielki niby to białej rasy polują w sposób wdzięczny i radosny na klienta. Nie są to w całym tego słowa znaczeniu prostytutki (choć oczywiście domy publiczne i zawodowe nałożnice urzędują tutaj również); wiele z nich pracuje w ciągu dnia na etacie ekspedientek, robotnic i urzędniczek, prawdziwą pasją darzą jednak tylko najstarszy ze znanych nam zawodów. Tu, na Świętojańskiej, dorabiają sobie do chudych pensyjek, tu dopiero dźwięczy ich śmiech i rozkwita ich uroda, tu czekają na swojego księcia z bajki...

Podobno nie zawsze biorą pieniądze. Kiedy ktoś ich nie ma lub kiedy ten czy ów bardzo im się podoba, pokazują swój monarszy gest! Z Brazyliii wydalono europejskiego dziennikarza (persona non grata), który w swojej korespondencji napisał, że w Brazylii kwiaty są bez zapachu, owoce bez smaku, kobiety bez czci a mężczyźni bez honoru. Nie dziwię się, że wywołało to wściekłość. Daj Boże, aby wszystkie kwiaty tak pachniały i wszystkie owoce smakowały jak soczyste brazylijskie mandarynki. Co do mężczyzn, potrafią być do przesady uczynni, serdeczni, z kobietami natomiast, to już całkiem osobna sprawa. Nawet córy Koryntu odznaczają się wobec swoich wybrańców lojalnością — niejeden europejski biedak wypił na ich rachunek, a następnego dnia, skacowany, został punktualnie odwieziony na statek taksówką. I choć złodziejstwo czy bandytyzm nie są w tym światku rzadkością — ze strony upatrzonej dziewczyny nie grozi człowiekowi żadne niebezpieczeństwo.

Mentalność Brazylijek jest szokująco różna niż mentalność europejskich nacji. Dużo się mówi o swobodzie i rozwiązłości seksualnej Skandynawek. Mity! Prawdziwą wolność mają właśnie kobiety z Rio Grande, Parany, Sao Paulo i Bahii. I to bez względu na stan cywilny oraz przychówek. Narzeczona, matka i mężatka — każda wywalczyła sobie na przestrzeni lat niepisane prawo do flirtu. Może i ciężko być tu mężczyzną, choć niektórzy twierdzą, że zazdrość jest tylko sprawą konwenansów i nawyków — przy odrobinie dobrej woli można się od niej uwolnić.

Brazylia zdecydowanie tępi pornografię. Nie rozpowszechniły się w Brazylii homoseksualne piśmidła i lesbijskie szmiry filmowe. Dzięki temu mężczyzna — rogacz nie rogacz, ciężko mu czy nie ciężko — jest tu jeszcze mężczyzną a nie piątym kołem u wozu, podglądającym przez dziurkę od klucza praktyki kobiet. I on jednak podlega krytyce. Pewna reporterka amerykańska, serio traktująca zagadnienie, przez kilka miesięcy okupowała sypialnie najrozmaitszych Brazylijczyków, żeby potem, na podstawie rozległej dokumentacji, obalić mit, o nadzwyczajnych walorach Mulatów i Murzynów. „Jedno, co potrafią — napisała — to obłapić dziewczynę w jakimś zaułku i stać tak z nią nieruchomo przez dwie godziny w absurdalnym przeświadczeniu, że jest to najwyższa forma szczęścia. Jeśli natomiast przyjdzie do otwartej konfrontacji, są do niczego!"

Niektórzy twierdzą, że łatwość w nawiązywaniu kontaktów seksualnych datuje się w Brazylii od niedawna — jeszcze kilkanaście lat temu namówienie dziewczyny na zwykły spacerek było nie lada osiągnięciem. Jest to oczywiście wierutne łgarstwo. Wystarczy postudiować trochę brazylijską literaturę, aby uwierzyć, że tutejsze normy moralne sięgają korzeniami zamierzchłych stuleci. Zainteresowanych odsyłam do „Kariery", powieści, którą napisał znakomity, ubiegłowieczny autor brazylijski, Aluisio Azevedo, i która — uznana niemal za dokument historyczny — w sugestywny sposób obrazuje, jak powstawały brazylijskie dzielnice nędzy i jak kształtował się brazylijski obyczaj, pozwalający już wtedy gardzić kobiecie cnotą na wzór europejski.

Gwarno na ulicy Świętojańskiej. Niektóre knajpy emitują światowe przeboje, inne rozbrzmiewają różnymi odmianami samby, uprawianymi w różnych stronach kraju. Słychać zatem Rancheirę z Rio Grande do Sul i Marchę z Santa Catarina; słychać Toadę z Parany i Baiao z Paraiby, słychać Frevo z Pernambuco i Afrosambę z Amazonas. Przez szapry albo zasłony w drzwiach widać rozneglizowane piękności, które, potrząsając wdziękami, tańczą na stołach, żeby zwabić mężczyzn do środka. Wśród tłumu wypełniającego szczelnie jezdnię i chodniki co i raz pokazują się policyjne patrole. Oni też czerpią z tego interesu, zapewniając mu przy tym ochronę. Chodzą po dwóch — trzech, przeginając się w biodrach na kowbojską modłę — spodnie wpuszczone do wysokich butów, colty w otwartych kaburach z perłowymi kolbami, z dwoma długimi, pląsającymi rzemykami, którymi podwiązuje się broń do uda i — jeden mój ruch, Amigo, a będziesz przed wrotami raju!

Obok szesnasto- dwudziestopięcioletnich dziewczyn spotykasz również dziesięcio- czternastoletnie dziewczynki. Rzadko bo rzadko, ale spotykasz, i to jest straszne... Nędza sprawia, że dziecko już w tym wieku musi stać się kobietą, ojciec w tym czasie śpi w jakiejś ruderze na przedmieściu, a matka, choćby nie miała jeszcze trzydziestu lat, jest już za stara, aby wytrzymać konkurencję młodszych piękności. Naprzykrza się więc mężczyznom taki szczawik o rączkach jak patyki i nóżkach jak szczudła — tańczy, podryguje, przewraca oczami, z których, mimo uśmiechu, wyziera rozpacz.

Właśnie takie obrazki sprawiają, że przez soczewkę nierządnej ulicy dostrzegasz nagle społeczną panoramę miasta. Muzyka wtedy zaczyna brzmieć fałszywie, śmiech niektórych dziewczyn wydaje się sztuczny, a ich namiętność — podrabiana. Przy odrobienie wyobraźni możesz sobie zrekonstruować, jak wracają z nocnej zmiany do domu w porannej szarówce — ktoś tam już na nie czeka: mąż, ojciec, matka, rodzeństwo, nieraz własne dzieci... Czyjeś oko spojrzy pytająco, jakaś ręka wyciągnie się po pieniądze... A jeśli nawet nikt nie czeka — co będzie z nimi za dziesięć — piętnaście lat? Niektóre pewnie, te najpiękniejsze, uciułają na własny sklepik czy kawiarnię: w tym toto-lotku jest przecież pewna ilość wygranych... Większość jednak zostanie na ulicy — będą stręczyć, sprzątać, kelnerzyć, żebrać, kraść, wszystko z wyjątkiem usług miłosnych, na które monopol ma „młodzież". Dziesięć lat w tym fachu, to starość Nieprzespane noce; papierosy, kawa, piwo na pusty żołądek, niecierpliwe i nieustanne czekanie, strach przed pięścią opiekuna, lęk przed pijanym zalotnikiem...

No, ale tak w ogóle, to na Świętojańskiej jest wesoło! Zgodnie z optymistyczną tendencją pamięci, nikt nie rozstrząsa doznanych upokorzeń, a żyć chwilą, dniem dzisiejszym, jest podobno specjalnością Brazylijczyków.

Graj sambo, moja miłości! Nasza jest noc! A ty, smutny Europejczyku, nie bądź znowu taki strasznie mądry! Nie zapominaj, że jesteś w Santosie, gdzie pewne rzeczy dzieją się inaczej i nawet słońce kręci się w przeciwną stronę.

Zdjęcia: Elżbieta Makowiecka

U PRZYJACIÓŁ

WARSZAWA. Powstanie pierwszego państwa socjalistycznego, a co się z tym łączy i rozkwit życia kulturalnego w ZSRR po 1918 r. nie mogły pozostać bez wpływu na postępowych twórców w młodym państwie polskim. szukających nowego modelu kultury dostępnej dla szerokich mas. Już w latach dwudziestych lewicowy nurt w literaturze, a zwłaszcza w poezji polskiej, formował się pod wrażeniem idei przenikających z sąsiedniego Kraju Rad. Idee te propagowały w międzywojennej Polsce czasopisma rewolucyjne „Kultura Robotnicza", „Dźwignia", „Nowa Kultura" i inne. Redagowało je i współpracowało z nimi wielu wybitnych pisarzy, wypracowujących model nowej, proletariackiej literatury. Wspomnieć tu należy m. in. takie nazwiska jak Witold Wandurski, Stanisław Stande, Bruno Jasieński, a przede wszystkim Władysław Broniewski, na którego wczesną twórczość tak znaczny wpływ wywarło dwóch wielkich poetów rosyjskich: liryk — Jesienin i rewolucjonista — Majakowski.

W 1925 r. Broniewski wspólnie z Wandurskim i Standem wydaje biuletyn poetycki „Trzy salwy", który staje się symbolem walki o „nowy ład społeczny". Pojawia się pierwsza grupa pisarzy związanych z Komunistyczną Partią Polski. Obok wyżej wymienionych należeli do niej Jan Hempel, Leon Kruczkowski, Halina Górska, Wanda Wasilewska i inni. W swej twórczości nawiązują oni do wzorów literatury radzieckiej, ogłaszają artykuły popularyzujące wiedzę o Związku Radzieckim. Władysław Broniewski drukuje w popularnych „Wiadomościach Literackich" reportaże ze swej podróży do Kraju Rad, w czasopismach „Dźwignia" i „Miesięcznik Literacki" ukazują się artykuły Standego i Wandurskiego poświęcone literaturze rosyjskiej i radzieckiej.

W 1933 r. „Wiadomości Literackie", pismo bynajmniej nie lewicowe, wydają specjalny numer poświęcony kulturze ZSRR. W rewanżu w grudniu tegoż roku „Sowietskoje Isskustwo" drukuje numer polski, a w roku następnym specjalne polskie wydanie ukazuje się w „Litieraturnej Gazecie".

Pojawiają się też liczne przekłady z literatury radzieckiej. W 1920 r. Anatol Stern tłumaczy wiersz Włodzimierza Majakowskiego „Port", a w trzy lata później ukazuje się w języku polskim jego słynny poemat „Obłok w spodniach" w przekładzie Juliana Tuwima. W tym samym roku wydano pod redakcją Witolda Wandurskiego utwory sceniczne Majakowskiego pt. „Nowa scena robotnicza". W 1927 r. wielki poeta radziecki odwiedza Polskę. Z tej okazji Broniewski, Jasieński, Słobodnik, Stern, Tuwim i Wandurski przygotowują tom poezji Majakowskiego z lat 1915—1927. Ten pierwszy w języku polskim wybór poezji autora „Łaźni" poprzedził napisany przez niego „wstęp do polskiego czytelnika", który Majakowski wręczył redaktorowi tomika Anatolowi Sternowi ze słowami: „Na zadatek przyjaźni polskiej i radzieckiej poezji".

Tłumaczone były wówczas w Polsce także utwory Ilii Erenburga, Michała Szołochowa, przede wszystkim zaś Maksyma Gorkiego. Pierwsze polskie tłumaczenie jego słynnej powieści „Matka" ukazało się w 1929 r. w tłumaczeniu Marcelego Tarnowskiego w serii „Najpiękniejsza powieść świata". Twórczość wielkiego pisarza znana jest już wówczas polskiemu czytelnikowi z wielu wcześniejszych przekładów. Dochodzą do nich w latach trzydziestych powieści: „Klim Samgin" i „Artamonow i synowie" — obydwie w przekładzie Karoliny Beylin oraz „Moje uniwersytety" w tłumaczeniu J. P. Zajączkowskiego i „U obcych" w przekładzie H. Pilichowskiej. Ważnym wydarzeniem w życiu kulturalnym i społecznym przedwojennej Polski było wydanie w 1935 r. dwóch antologii: „Poezji sowieckiej" i „Dwóch wieków poezji rosyjskiej". Dzięki inicjatywom działaczy lewicowych wiersze radzieckich poetów trafiają do środowisk robotniczych Warszawy, Śląska, Łodzi, wywołując żywe dyskusje.

Przenikające z ZSRR idee nowej kultury proletariackiej znajdują oddźwięk nie tylko wśród postępowych pisarzy i poetów, lecz w szeroko pojętej polskiej lewicy intelektualnej, która radykalizuje się w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego. Do głosu dochodzi wówczas młodsze pokolenie literackie, które już otwarcie walczy o przemiany społeczno-ustrojowe. Takie hasła głosili m. in. poeci skupieni wokół wydawanego w Warszawie pisma „Kwadryga". Do najbardziej znanych „kwadrygantów" należeli: założyciel grupy Stanisław Ryszard Dobrowolski oraz Władysław Sebyła, Lucjan Szenwald, przez pewien czas współpracował z nimi Konstanty Ildefons Gałczyński.

NATO

„KONCEPCJA BEZPIECZEŃSTWA" W STREFIE ZATOKI PERSKIEJ

Wbrew woli krajów przybrzeżnych, naruszając rezolucję ONZ, rządy: amerykański, angielski i francuski zwiększają potencjał swoich baz wojskowych na Oceanie Indyjskim, stwarzając zagrożenie pokojowi i bezpieczeństwu państw leżących w tym rejonie. Postępowe koła polityczne Indii zwracają uwagę na fakt, że Związek Radziecki nie ma tam baz wojskowych i że niejednokrotnie oświadczał, iż nie zamierzał i nie zamierza ich tam zakładać. Związek Radziecki zawsze wyrażał gotowość omówienia z państwami przybrzeżnymi wszystkich problemów dotyczących przekształcenia basenu Oceanu Indyjskiego w sferę pokoju.

Nie można pomijać milczeniem faktu, iż sytuacja w rejonie tego oceanu wywiera bezpośredni wpływ na międzynarodowy stosunek sił. Powstała tutaj cała sieć wojskowych baz krajów kapitalistycznych, a przede wszystkim baz amerykańskich, angielskich i francuskich. Amerykańskie okręty, jak również okręty innych państw Zachodu, krążą po Oceanie Indyjskim. Wśród nich zwraca uwagę duża ilość lotniskowców i łodzi podwodnych uzbrojonych w wyrzutnie rakiet dalekiego zasięgu. Trudno przypuszczać, że są one przeznaczone do ochrony morskich dróg handlowych, albowiem nie nadają się do tego celu strategiczne jednostki morskie. Ich obecność na Oceanie Indyjskim, co jest bardziej prawdopodobne, wiąże się ze strategicznie ważną pozycją północno-zachodniej części Oceanu Indyjskiego. Obserwatorzy polityczni uważają, że to, co się tam odbywa, jest z jednej strony prowokacją, a z drugiej próbą zmiany stosunku sił. Związek Radziecki mógłby oczywiście ze swej strony podjąć wiele kontrakcji, mimo to dotąd nie ma on tam baz wojskowych i nadal uważa, iż główną drogą wiodącą do zachowania równowagi sił i zahamowania zbrojeń są rozmowy.

W tym samym czasie USA i ich sojusznicy z NATO dążą do użycia konserwatywnych reżimów krajów Zatoki Perskiej jako bazy w walce przeciwko arabskim ruchom narodowowyzwoleńczym. Ostatnimi czasy amerykańscy wojskowi przeróżnych stopni i funkcji składają coraz częstsze wizyty w niektórych krajach leżących nad Zatoką Perską. Szczególnie interesujący jest fakt, iż większość tych amerykańskich gości pracuje w Pentagonie. Wielu komentatorów politycznych zarówno pism krajów Bliskiego Wschodu, jak i krajów zachodnich wiąże te nasilające się wizyty z upływem terminu (minął w czerwcu tego roku) porozumienia między Bahrejnem (szejkanat pod protektoratem Wielkiej Brytanii, 193 tys. mieszkańców — red.) i USA, na mocy którego Stany Zjednoczone dzierżawiły wojskową bazę morską nad Zatoką Perską (w Dżufir). Amerykanom chodzi z pewnością o zachowanie tej bazy w drodze przedłużenia terminu umowy. W tym aspekcie nietrudno jest dostrzec związek z amerykańsko-zachodnią militaryzacją basenu Oceanu Indyjskiego. Amerykańscy stratedzy uważają, iż bazy wojskowe w rejonie Zatoki Perskiej, stanowiąc korzystny ośrodek dowodzenia siłami morskimi USA na Bliskim Wschodzie, mają także ogromne znaczenie dla zabezpieczenia interesów Stanów Zjednoczonych nie tylko w rejonie Zatoki Perskiej, lecz w ogóle w basenie Oceanu Indyjskiego. Dążąc do zachowania tutaj swojej wojskowej obecności, Pentagon ucieka się do taktyki zmiany formy dysponowania niektórymi bazami wojskowymi, nie wnosząc przy tym żadnych poprawek do swoich strategicznych planów. Jest to wyraźnie widoczne i żadne manipulacje nie zmylą uważnych obserwatorów tych manewrów.

Doskonale wiadomo, iż zainteresowanie, jakie przejawia amerykański kompleks wojskowo-przemysłowy Zatoką Perską nie jest przypadkowe. Rzecz w tym, iż wskutek swego położenia geograficznego posiada ona wielkie znaczenie strategiczne, ale dodajmy, że odgrywa ona także ważną rolę jako źródło zasobów energetycznych. Tutaj znajduje się większa część złóż ropy naftowej całego kapitalistycznego świata. Wszystko to razem wzięte nadaje Zatoce Perskiej takie znaczenie strategiczne, jakie mają: Kanał Panamski i Cieśnina Gibraltarska, a być może nawet większe. Pragnąc uniknąć w szeregu krajów protestów miejscowej ludności przeciwko rozmieszczaniu na ich terytoriach amerykańskich baz wojskowych, Waszyngton coraz częściej chowa się za plecami zaprzyjaźnionych z nim krajów. Szukając coraz to nowych miejsc na rozmieszczenie swoich sił zbrojnych, Pentagon zawarł w ostatnich czasach szereg odpowiednich porozumień, tajnych i jawnych. W ten sposób USA zaczęły już korzystać z angielskiej bazy lotniczej na wyspie Masira (na Morzu Arabskim, w pobliżu Zatoki Perskiej). Poczynając od marca tego roku Stany Zjednoczone przystąpiły, wspólnie z Anglią, do opracowania tzw. uniwersalnego porozumienia, na mocy którego amerykańskie siły zbrojne wymieniłyby w niektórych rejonach świata brytyjskie jednostki wojskowe. Stanom Zjednoczonym, jak informuje m.in. bagdadzki dziennik „Tarik asz-Szaab", który z bliska obserwuje te manewry, udało się uzyskać zgodę Wielkiej Brytanii na taką „wymianę", w zamian za dostawy amerykańskiej broni.

Baza na wyspie Masira stwarza amerykańskim siłom powietrznym możliwość efektywnego kontrolowania strefy nad Cieśniną Ormuz, leżącą na wyjściu z Zatoki Perskiej i mającą ważne znaczenie strategiczne. Tankowce, wypływające z tego naftowego zagłębia we wszystkich kierunkach świata, przechodzą przez Cieśninę Ormuz. Na wypadek nowego arabskiego embargo na dostawy nafty, Stany Zjednoczone miałyby możność kontrolowania całego wydobycia nafty w rejonie Środkowego i Bliskiego Wschodu. Niewykluczone, iż w takiej sytuacji cały Półwysep Arabski znalazłby się pod bezpośrednią kontrolą USA, a baza na wyspie Masira zostałaby przekształcona w wypadową bazę przeciwko krajom arabskim.

Pentagon nie tylko tworzy coraz to nowe bazy wojskowe, lecz zachowuje i rozbudowuje już posiadane. Powoduje napięcia w tym rejonie świata, dostarczając wielkie ilości broni niektórym leżącym tutaj krajom. Oczywiście, wraz z bronią przybywa tutaj mnóstwo różnego rodzaju doradców i specjalistów, którzy szkolą miejscowe armie w obsłudze tej nowoczesnej broni. Nawet według amerykańskich danych, ilość tych specjalistów w rejonie Zatoki Perskiej osiągnie w 1980 roku liczbę ponad 150 tysięcy osób.

Amerykańska intensywna penetracja krajów tego rejonu wzbudza wielkie zaniepokojenie narodów arabskich, w tym również gorącego sojusznika USA — Arabii Saudyjskiej. Zdają one sobie doskonale sprawę, iż przenikanie USA zagraża bezpieczeństwu i niepodległości ich krajów oraz nieskrępowanemu dysponowaniu własnymi bogactwami naturalnymi. Postępowe siły w krajach arabskich zdają sobie sprawę, iż groźna sytuacja powstała w tym rejonie wymaga od nich wielkiej czujności, umocnienia współpracy i koordynacji działań, żeby nie wpaść w zastawione przez imperializm sieci drobnych wewnętrznych zamieszek, będących na rękę tylko imperializmowi i jego dążeniom do osłabienia państw arabskich, izolowania ich od siebie i pozbawienia poparcia ze strony sojuszników zarówno w krajach arabskich, jak i w skali międzynarodowej. Istota amerykańskiej polityki „zapełnienia próżni" w tym rejonie świata polega na intensywnym zwiększaniu wojskowej i ekonomicznej pomocy reżimom arabskim wiernym USA, aby umożliwić im rozprawę własnymi siłami z nabierającymi rozmachu ruchami narodowowyzwoleńczymi. W ten właśnie sposób imperializm w praktyce realizuje swoją koncepcję „bezpieczeństwa" w strefie Zatoki Perskiej. Narody krajów arabskich widzą coraz wyraźniej, iż w ostatecznym rachunku nie ma różnicy między celami miejscowej reakcyjnej oligarchii i planami imperializmu.

JERZY CZECH

LASY— PŁUCA ZIEMI

Ostatnimi czasy coraz więcej uczonych zwraca uwagę na jeden z rodzajów zanieczyszczenia środowiska naturalnego, do którego nie przywiązywano dotąd większego znaczenia. Chodzi tu o gromadzący się w atmosferze dwutlenek węgla wydzielany przy spalaniu paliw. Zjawisko to uważano uprzednio za o wiele mniej szkodliwe, niż zanieczyszczenie mórz i rzek, unoszenie się w powietrze trujących gazów, itp. Dziś jednak stało się jasne, że człowiek narusza jeden z najważniejszych elementów równowagi w przyrodzie, produkując znacznie więcej dwutlenku węgla niż mogą go asymilować rośliny. Do czego to prowadzi trudno na razie powiedzieć. Jednym z najbardziej prawdopodobnych następstw może być znaczne przegrzanie planety, co z kolei spowoduje gwałtowne topnienie lodów i jako następstwo — znaczne podniesienie się poziomu Oceanu Spokojnego i zatopienie ogromnych połaci lądu.

Uczeni rozważają także i inne możliwe następstwa nagromadzenia w atmosferze dwutlenku węgla. Jedno jest pewne, że w celu zahamowania tego niebezpiecznego procesu trzeba podjąć natychmiastowe działania, a najpilniejszym z nich i najbardziej oczywistym jest zaprzestanie dewastacji lasów. One to bowiem są głównym „pochłaniaczem" dwutlenku węgla. W szeregu krajów prowadzi się bardzo energicznie prace zmierzające do ochrony i odtwarzania lasów. W ZSRR na przykład na odtwarzanie lasów wydatkuje się rocznie 169 mln rubli.

Dr A. Weinberg, kierownik grupy amerykańskich specjalistów prowadzących badania w dziedzinie energetyki uważa, że wydzielanie do atmosfery dwutlenku węgla jest, być może, najważniejszym aspektem, który należy brać pod uwagę przy perspektywicznym planowaniu polityki energetycznej. Globalne wydzielanie dwutlenku węgla, ze względu na jego ogromną skalę, może, zdaniem uczonych, doprowadzić do katastrofy.

Podobnego zdania jest wielu ekologów o światowej sławie. Współczesna technika pozwala usuwać większą część szkodliwych komponentów spalania (raczej teoretycznie) i stwarza możliwości wydalania do atmosfery tylko par wodnych i dwutlenku węgla. Dotąd uważano to za zupełnie nieszkodliwe. Istotnie, wszak pary wodne i dwutlenek węgla są naturalnymi składnikami atmosfery ziemskiej. Niedawno jednak specjaliści doszli do wniosku, że wyziewy te nie są tak nieszkodliwe, żeby można przejść nad tym do porządku dziennego. Pary wodne kondensują się w chmury deszczowe, ale dwutlenek węgla pozostaje częściowo w atmosferze i jego koncentracja w powietrzu nieustannie rośnie. Co roku, do atmosfery wyrzuca się około 5 miliardów ton dwutlenku węgla. Na szczęście nie pozostaje on w niej w całości, bowiem przyroda przewidziała przeróżne sposoby oczyszczania powietrza. Niemniej stwierdzono iż w okresie od 1957 do 1975 roku koncentracja dwutlenku węgla w atmosferze wzrosła o 5 procent.

(C)

■ Dramatyczne wydarzenia w RFN
■ Wnioski z debaty generalnej
■ Bogaty kalendarz kontaktów

Porwanie samolotu Lufthansy z 86 pasażerami, zabicie pilota przez terrorystów, uwolnienie zakładników po akcji specjalnego oddziału zachodnioniemieckiej policji granicznej w stolicy Somali, samobójstwo w celi więziennej przy pomocy broni palnej (!) czterech terrorystów skazanych na dożywocie i zabójstwo Hansa Schleyera po czterdziestu trzech dniach od jego uprowadzenia — to pasmo wydarzeń, które z najwyższą uwagą śledzone były nie tylko przez społeczeństwo RFN. **Terroryzm nigdzie nie znajduje aprobaty.** Niestety — w ostatnim czasie spotykamy coraz więcej jego przejawów.

Wspomniane wydarzenia w różnorodny sposób wpływały na sytuację wewnętrzną w RFN. Kiedy rząd Schmidta przeciwstawił się żądaniom porywaczy i zdecydował na akcję zbrojną w celu uwolnienia pasażerów — cieszył się zdecydowanym poparciem większości społeczeństwa, kiedy natomiast okazało się, że w szczelnie izolowanych celach więźniowie dysponują... radiem i bronią — kosztowało to rząd dymisję ministra Sprawiedliwości i zmusiło do publicznego oświadczenia kanclerza, że w trybie pilnym zbadane zostaną wydarzenia w więzieniu stuttgarckim, a rezultaty śledztwa podane do wiadomości ogółu.

W deklaracji rządowej **kanclerz Schmidt podkreślił m. in. że doświadczenia ostatnich tygodni pozostawią ślady nie tylko w Republice Federalnej...** Być może, przede wszystkim jednak w samej RFN. Już teraz komentatorzy zastanawiają się, kto większe wyciągnie profity — partie rządowe, które podjęły zdecydowane działanie, czy też opozycja, która w wytworzonej sytuacji ściśle z rządem współpracowała? Nie ulega bowiem wątpliwości, że **czasowe „zawieszenie broni" rychło się skończy** i każda ze stron będzie chciała politycznie dyskontować dramat ostatnich dni.

Przejdźmy teraz do innego tematu: zakończonej debaty generalnej na XXXII sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ, w czasie której wystąpiło 140 mówców.

Trzy tygodnie dyskusji minęły przede wszystkim pod znakiem najważniejszych światowych problemów. Większość zabierających głos szefów delegacji podkreślała **znaczenie problematyki rozbrojeniowej,** dając wyraz nadziejom na pomyślne zakończenie negocjacji SALT i skuteczne ustalenia specjalnej sesji ONZ, która ma być poświęcona rozbrojeniu. I publiczne wystąpienia i rozmowy kuluarowe (co zauważyli nasi korespondenci) wykazały, że nie ma obecnie kraju, który nie byłby zainteresowany „aktywną grą polityczną na forum ONZ". Znacznie większą ruchliwość niż za poprzedniej prezydentury wykazała delegacja amerykańska.

Sprawy ekonomiczne, czego raczej nie przewidywano, zeszły w debacie generalnej zdecydowanie na dalszy plan. Nie świadczy to jednak o ich pomniejszaniu. Na obecnej sesji ujawnią się one wielopłaszczyznowo, ponieważ **problematyka nowego ładu ekonomicznego jest bardzo żywa,** a forum ONZ, po nieudanych innych próbach, uznano ostatecznie za najwłaściwsze do dyskusji na ten temat.

Wspólne oświadczenie radziecko-amerykańskie na temat Bliskiego Wschodu mocniej jeszcze ześrodkowało uwagę na tym rejonie świata. Znamienne, że aż **56 mówców wypowiedziało się za udziałem delegacji Organizacji Wyzwolenia Palestyny w genewskiej konferencji,** a przedstawiciel tej Organizacji uzyskał w drodze wyjątku możliwość zabrania głosu (jak wiadomo — naród palestyński nie ma swego państwa i nie jest reprezentowany w ONZ).

W ocenach debaty generalnej jej bezpośredni obserwatorzy podkreślają wreszcie i to, że **Chiny ze swym programem antyodprężeniowym poczuły się bardzo izolowane,** ponieważ jej główny ton był akurat odwrotny. I tak na przykład radziecka idea o nieużywaniu siły w stosunkach międzynarodowych została poparta przez dużą większość delegacji.

Ostatnie dni obfitowały znów w **liczne bezpośrednie kontakty Polski.** Wymieńmy chronologicznie: wizytę w naszym kraju ministra Spraw Zagranicznych ZSRR — **A. Gromyki,** wizytę premiera **P. Jaroszewicza** w Bułgarii, pobyt w Warszawie ministra Obrony Ludowej Republiki Angolii — **C. Carrerii** oraz wizytę przewodniczącego Rady Państwa PRL — **H. Jabłońskiego w Nigerii,** a także wizytę w naszej stolicy przewodniczącego Związkowej Rady Wykonawczej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii — **V. Dżurnanowicza.**

O czym świadczy ten bogaty kalendarz?

Odpowiadając najkrócej: o naszej aktywności międzynarodowej, a więc i o naszej pozycji w świecie.

W. SŁAWSKI

Foto: Archiwum

DWA ORLE GNIAZDA

Dalszy ciąg ze str. 1

Dokument adoptacji zawarł zobowiązanie Wacława do ujawnienia Antoniowi, gdy stanie się on pełnoletnim, tajemnicy testamentu Inków, dotyczącego skarbu Inków peruwiańskich. Skarb ten został ukryty przed najeźdźcami hiszpańskimi przez wodza Tupac Amaru w Titicaca w Peru. Wacław Berzeviczy zobowiązał się ukryć wreczony mu przez Radę Emisariuszy Inków testament pod progiem bramy wejściowej do zamku górnego w Niedzicy.

Antonio wychowuje się na Morawach, a dorosłszy żeni się z Polką, ma dwie córki i dwóch synów: Ernesta i Wilhelma. Antoni Benesz Tupac Amaru, umierając w 1877 r., przekazuje dokumenty i pamiątki rodzinne synowi Ernestowi, nakazując mu jednak, aby nigdy się tymi sprawami nie interesował, gdyż dziedzictwo to przynosi nieszczęście.

* * *

— To jakaś klątwa, czy co — mówi pan Franciszek, wieloletni przewodnik po zamku w Niedzicy. — Bo ten Andrzej Benesz, wnuk Ernesta Benesza, znalazł te wszystkie dokumenty w archiwum kościoła św. Krzyża w Krakowie, wykopał testament i przez długi czas ślad po nim zaginął. Potem dowiedziałem się, że studiował archeologię i jeździł z jakąś wyprawą do Peru. Na pewno szukał ukrytych skarbów. Ale chyba ich nie znalazł. Wrócił do kraju i został w Sejmie ważną osobą. A dwa lata temu wyczytałem w gazecie, że zginął w wypadku samochodowym pod Kutnem. A dwóch naszych kustoszów też zmarło śmiercią tragiczną: jeden utonął w jeziorze na Mazurach, a drugi zginął w czasie wyprawy w Himalaje.

Niektórzy powiadają, że część skarbu Inków została zakopana w pobliżu naszego zamku. Teraz buduje się tu zaporę na Dunajcu. Podobno jedna spycharka coś tam już wykopała, ale na budowie nikt nie chce o tym mówić...

* * *

Trzeba będzie iść na tę budowę i kogoś przepytać. Tymczasem jednak intrygują mnie niezwykłe dzieje niedzickiego zamku. Obecny jego kustosz, pan Janusz Andruszkiewicz, użyczył mi do wglądu materiały archiwalne, a wśród nich publikację Samuela Webera z 1893 r. W publikacji tej znalazłem m.in. zapis następujący:

„Nie było na całych Węgrzech pańskiej rezydencji, gdzie by gość lepiej się czuł aniżeli w zamku w Niedzicy. W 1823 r., z okazji zakończenia odnowienia zamku, Andrzej Horvath urządził wielką zabawę, na której dwustu gości bawiło się przez trzy dni i trzy noce. Gdy czwartego dnia rano zebrali się goście w dużej sali zamkowej, aby się pożegnać, gospodarz kazał zamknąć w zamku wszystkie bramy i oświadczył, iż starym zwyczajem wszyscy goście, którzy znaleźli się w Niedzicy po raz pierwszy, zostaną obici łopatą. Nie pomogły sprzeciwy. Na kanapie ustawionej w środku sali otrzymali panowie jak i panie po trzy uderzenia łopatą, aby zapamiętali sobie miłe spędzone chwile w Niedzicy".

Obecnie w odrestaurowanym zamku mieści się muzeum etnograficzne Ziemi Spiskiej oraz Dom Pracy Twórczej Stowarzyszenia Historyków Sztuki, który przyjął mnie w swoje gościnne progi. Domem administruje pan Władysław Maciołowski, postać niezwykle barwna i rodzajowa (szczupła sylwetka i nobliwa broda), z wykształcenia inżynier-rolnik, który powiada o sobie, iż dożywa tu emerytury, ale jego energia zaprzecza temu stwierdzeniu. Wszyscy nazywają go tu żartobliwie kasztelanem. Przybyłych gości prowadzi sam do stylowo urządzonych komnat i chętnie wdaje się z nimi w rozmowę.

— Niedawno mieliśmy tu niecodzienne wydarzenie: pochówek na rodzinnym cmentarzu dwojga z byłych właścicieli zamku: matki rodu dzisiejszych Salamonów, której zwłoki sprowadzono z Budapesztu, oraz jej syna, sprowadzonego z Salzburga. Niech pan odwiedzi wzgórze nad zamkiem, tam znajdzie pan grobowiec rodzinny Salamonów.

Obiecuję, że nie omieszkam tego uczynić, pytam jednak pana Maciołowskiego, skąd tu w Niedzicy ci węgierscy włodarze?

— O, to długa historia. Widzi pan, dzieje zamku w Czorsztynie, którego ruiny widoczne są po drugiej stronie Dunajca były związane z dziejami południowych ziem Polski, a w szczególności ziemi nowotarskiej i sądeckiej. Natomiast dzieje zamku w Niedzicy powiązały się z dziejami ziemi spiskiej, która w zaraniu naszego państwa należała do Polski, ale potem dostała się we władanie Węgrom i tak przetrwała aż do początków XX wieku. Po pierwszej wojnie światowej przeprowadzono plebiscyt na Spiszu i w roku 1920 zamek w Niedzicy razem z częścią Zamagurza znalazł się w obrębie naszych granic, ale aż do roku 1945 dzierżyli go Salamonowie.

— To ostatni właściciele. A ci poprzedni?

— Było ich wielu. Pierwsza wzmianka o zamku, który wtedy nazywano Dunajcem, pochodzi z roku 1325. W XVI wieku zamek i należące do niego ziemie darował król Jan Zapolya swemu dyplomacie. Polakowi Hieronimowi Łaskiemu. Potem był on gniazdem raubritterów, którzy terroryzowali całą okolicę. Syn Hieronima, Olbracht Łaski, sprzedał tzw. klucz niedzicki György Horváthowi z Paloscy, który obronny zamek rozbudował i przekształcił w renesansową rezydencję. Szczególna to była jednak rezydencja, bo później urządzono w jej podziemiach więzienie, odbywano tu sądy madziarskie, zgładzano i torturowano ludzi. W górnym zamku, gdzie mieści się muzeum, zobaczy pan dziś jeszcze stare narzędzia tortur.

— Słyszałem coś o „dębie Palocsayów", którego odziomek sterczy jeszcze na placu przed zamkiem.

— A tak, to legendarny dąb, za życia miał 6 metrów obwodu i dopiero nie tak dawno jego koronę zwaliła wichura. Podobno drzewo to zasadziła Cyganka, wypowiadając przy tym znamienne zdanie, że dopóki dąb będzie zdrowy i zielony, dopóty ród Horváthów rósł będzie w siłę i znaczenie. Kroniki zamkowe zanotowały, że konary dębu zaczęły schnąć pod koniec życia ostatniego męskiego potomka rodu, około roku 1845. Wkrótce potem Niedzica, droga dziedzictwa po kądzieli, przeszła w ręce rodu Salamonów. Nasz przewodnik Franek pamięta dobrze ostatnich właścicieli, na pewno panu o nich opowie.

* * *

Pierwszy raz przyjechałem w te strony przed dwunastu laty. Wędrowałem wtedy po Pieninach i nie mogłem nasycić się ich urokiem. Szczególnie zapadł mi w pamięć obraz doliny Dunajca, widoczny z czorsztyńskiego wzgórza: ciemnozielone pasmo smreków i rozcinająca je pienista górska rzeka.

Idziemy teraz za panem Franciszkiem obwodnicą, biegnącą prawym, wysokim, spiskim brzegiem Dunajca. Obwodnica została wytyczona w związku z budową zapory: za kilka lat ta wijąca się w dole szosa i Czorsztyn aż po Zamkową Górę zostaną zalane wodą.

Ruiny zamku w Czorsztynie przesuwają się przed nami jak na obrotowej scenie: na brunatnym jak niedźwiedzia skóra wzgórzu bieleją stare mury, nie opodal czerwienią się dwie dunajcowe skałki i góralskie domostwa rozrzucone w dolinie. Po stokach sterczą umocowane na ostrewkach kopki siana: wysokie i cienkie niczym ludzkie postacie podchodzące tyralierą pod wzgórze.

Pan Franciszek oprowadził już swoje dzisiejsze wycieczki, ale nie opuścił go duch przewodnika:

— Niech pan spojrzy, te dwa zamki, niedzicki i czorsztyński, to jak dwa orle gniazda po dwóch stronach Dunajca. A widzi pan tę żółtą płaszczyznę nad zamkiem w Czorsztynie? To zadaszenie, zabezpiecza się tam teraz ruiny i prowadzi prace archeologiczne. Słyszałem, że jedna z baszt ma zostać odbudowana i urządzone w niej czorsztyńskie muzeum. Należy to się Czorsztynowi. To przecie graniczny odcinek historycznego traktu z Polski na Węgry. Sam zamek pobudował Kazimierz Wielki, potem jego starostą był Zawisza Czarny i wtedy to przebywał tu kilkakrotnie król Władysław Jagiełło. W roku 1440 w zamku na Czorsztynie żegnał się z matką Władysław Warneńczyk. Zamek przeżył kilka oblężeń w połowie wieku XVII zajął go z góralami Kostka Napierski i tu bronił się przed dragonią biskupa krakowskiego. Potem znalazł w nim schronienie Jan Kazimierz uciekając przed Szwedami, a w roku 1769 kwaterowali tu konfederaci barscy. Pod koniec XVIII wieku zamek spłonął od pioruna i stał się już tylko zabytkową ruiną, którą szkicowali malarze i opiewali poeci: Krasiński, Goszczyński, Kasprowicz, Tetmajer i wielu, wielu innych.

Po Czorsztynie, a jakże, też prowadzałem wycieczki, ale tylko w pierwszych latach po wojnie. Nie dawałem rady tak kursować między jednym zamkiem, a drugim, to spora odległość i dwie góry, nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Więc utknąłem na stałe w Niedzicy, coś mnie przykuło do tych murów, tak jak dawnymi czasy przykuło do nich Janosika....

— No właśnie, słyszałem, jak pan opowiadał wycieczce legendę o słowackim Janosiku. Ale słyszałem też o tym, jak pan zaopiekował się zamkiem zaraz po wojnie.

— A tak, zamek był przez jakiś czas bezpański i zaczęto wyszabrowywać jego urządzenia. Nie mogłem na to patrzeć. Żal mi było zamku, pilnowałem, żeby ludzie go nie niszczyli. Matka nakrzyczała na mnie, co ty robisz, lepiej byś sobie zdobył jakiś zawód, kim ty właściwie będziesz? Ale leśniczy mnie namówił, żebym został: bida w domu, a tu ci dadzą przynajmniej na chleb, no i zostałem. Potem przyjechał profesor Dutkiewicz z Krakowa, dowiedział się, że jestem tutejszy rodak, że chodziłem do zamku od dziecka, więc mnie zatrudnił i przykazał wszystkiego dopatrywać.

— Mówi pan, że zna pan ten zamek od dziecka?

— Mój ojciec był stelmachem u hrabiów Salamonów, a ja z takim jednym Florkiem podawaliśmy państwu młodym piłki przy korcie tenisowym. Dostawaliśmy za to po 10 groszy dziennie, a czasem więcej, jeśli państwo młodzi byli w dobrym humorze. Ale z tym ich humorem bywało rozmaicie. Jeden z braci za złe wyfroterowanie podłogi w jego pokoju skatował kiedyś człowieka, drugi rozbił się wieżą szoferowi po stromym zboczu, auto się stoczyło i szofer został zabity. Zostawił żonę z kilkorgiem małych dzieci, nie miał kto iść odrabiać na pańskim...

— Jak to: odrabiać na pańskim? W latach międzywojennych?

— A tak, bo Niedzica — Zamek to była wieś folwarczna, na której najdłużej w Polsce utrzymała się pańszczyzna. Nawet chaty zbudowane przez zelarzy nie należały do nich, ale do dworu, bo dwór dał na nie budulec. Nędza była u nas, ludzie głodowali, więc nikt nie odważył się protestować. Szczęśliwy był ten, komu udało się uciec do Ameryki. Do tego karbowi podlizywali się panom, był taki jeden karbowy Janos, to nawet w niedzielę po oknach pukał, żeby ludzie szli do roboty. Jak kto nie wyszedł, to zaraz bił. Rodzice mojej matki tak się zaharowali, że oboje zmarli jednego tygodnia z ciężkiej pracy.

Opowiadali u nas, jak to w dwudziestym siódmym przyjechała do Czorsztyna jakaś komisja z Warszawy i panowie siedzieli w restauracji u Szperlinga. Przyszedł tam wtedy obdarty, znędzniały góral i arendarz dał mu trochę tytoniu do fajki. Panowie pytają się górala: „Skąd wy jesteście, gazdo?" — „A ze zomku węgirskiego". Słowo po słowie zgadali się, że tam straszna bieda, ludzie nie mają nawet kiedy obrobić swojego kawałka ziemi, bo odrabiają pańszczyznę. Panowie złapali się za głowy i pojechali z powrotem do Warszawy. W jakiś czas później przyjeżdża do Niedzicy inna komisja, właśnie w sprawie tej pańszczyzny. To pani Salamon prosi ich, żeby się rozgościli, a sama każe sprowadzić cygańską orkiestrę i szlachtować gesi, kaczki i kury. Pojedli, popili, pobawili się i odjechali, bo wyklarowano im, że to niby odrobek z kawałka ziemi, a nie pańszczyzna. Dopiero w trzydziestym drugim roku chłopi zostali uwłaszczeni. Ale moi rodzice zgubili pokwitowanie zarządu dóbr, że pracowali na pańskim, no i myśmy nic nie dostali.

* * *

Budowa zapory nasuwała i nasuwa szereg zbiorowych, jeśli tak rzec można, obiekcji. Więc przede wszystkim zmieni się mikroklimat, ucierpi naturalne środowisko, wiele unikalnych roślin i owadów przestanie egzystować. Zalane zostaną najlepsze uprawne ziemie w dolinie Dunajca, przepadnie sporo starych okazów architektury góralskiej. Prawda, niektóre obiekty zabytkowe, stare kapliczki, mają być przeniesione wyżej, ale już dzieją się rzeczy monstrualne, jak np. pobudowanie przez mieszkańców wsi Maniowy, na wyznaczonych im działkach, nowej ni to wsi, ni to osady — tworu zagęszczonego i obcego w tym krajobrazie.

Przy wysadzaniu skał pod zaporę nad dziedzińcem niedzickiego zamku przelatywały kamienie i wypadło kilka cegieł z wiekowej budowli, na skutek czego zmniejszyła się nawet frekwencja w zamkowym Domu Pracy Twórczej. Cegły były wprawdzie też historyczne, trudno jednak dziwić się historykom sztuki, że się ich trochę przerazili. Owszem, w zamkowych studniach brakuje często wody i trzeba ją dowozić, nie wiadomo jednak, co gorsze: przejściowy brak wody czy jej nadmiar. Niedzicki zamek stoi na skale wapiennej, porowatej, geolodzy odkryli pod zamkiem szczeliny i trzeba liczyć się z możliwością przeniknięcia wód do fundamentów. A przecież Niedzica to jeden z najstarszych i najcenniejszych zabytków warowni górskiej w naszym kraju.

Wszystko to mam w pamięci, gdy brnąc przez gliniaste wykopy, w huku koparek i potężnych jelczów dowożących żwir docieram do dyrekcyjnego baraku na budowie. Dyrektor, **inż. Bolesław Kiper,** przez pewien czas przygląda mi się uważnie.

— Aha, więc przybywa pan z zamku. Bardzo tam na nas psiocza, wiem o tym. Był tam niedawno pewien dziennikarz z „Życia Literackiego" i potem ogłosił artykuł pod dowcipnym tytułem: „Wysadzimy naszej babci zamek cały!".

— No, może nie naszej babci, ale węgierskiej — próbuję obrócić sprawę w żart. — A poza tym przychodzę do pana, żeby poznać „drugą stronę medalu". Chciałbym, żeby powiedział mi pan na wstępie o pańskich poprzednich budowach.

— Było ich kilka. Kanał Łączane—Skawina, zapora w Tresnej koło Żywca. Ostatnio ujęcie wody pod Oświęcimiem dla Huty Katowice. No a teraz Czorsztyn.

— Powiedzmy sobie coś niecoś o Czorsztynie...

Właściwie będzie to zespół zbiorników wodnych Czorsztyn — Niedzica — Sromowce. Główna zapora powstanie w Niedzicy pod zamkiem, druga, tzw. zbiornik wyrównawczy — w Sromowcach, trzecia, zarazem zbiornik rekreacyjny — na Niedziczance. Do tego dochodzą roboty w okolicy wsi Dębno i Frydman — budujemy tam obwałowania.

— Więc jednak zabezpiecza się to i owo?

Dyrektor znów przygląda mi się przez chwilę.

— Nie tylko Dębno i Frydman. Myślimy także o zabezpieczeniu obu wzgórz zamkowych, tego w Niedzicy i tego w Czorsztynie. Są już nawet konkretne plany.

— Słyszałem, że sprawa budowy zapory na Dunajcu ciągnie się od wielu lat...

— Przynajmniej od lat międzywojennych. Zajmował się nią m.in. inżynier Gabriel Narutowicz. Na cztery lata przed wojną wykuto nawet w skale jedną sztolnię, ale i na tym poprzestano.

— Jaki jest najistotniejszy cel budowy?

— Zgromadzenie wody pitnej, spływającej z okolic Tatr. Zapora ziemna mieć będzie 400 m długości i 60 m wysokości, powierzchnia zbiornika głównego — 1335 ha, a sam zbiornik pomieści 236 milionów metrów kubicznych wody. Pozwoli to regulować także stan wody na Wiśle, a więc wykorzystywać Wisłę dla celów żeglugowych, co przy naszej napiętej sytuacji transportowej ma niebagatelne znaczenie. Następny cel to zabezpieczenie powodziowe, a wiadomo, że Dunajec jest bardzo kapryśną rzeką. No i wreszcie cel ostatni: budowa siłowni o mocy około 100 megawatów, co również będzie się liczyć w naszym bilansie energetycznym.

Nie wątpię, że słyszał pan o wielu dyskusjach na temat budowy zbiornika. Ale z tymi dyskusjami jest podobnie, jak z debatowaniem, co lepsze: głodować, czy też stosować nawozy sztuczne w rolnictwie. Tam idzie o chleb, tutaj o nieskażoną wodę.

— Pozwoli pan, dyrektorze, jedno niedyskretne pytanie: zna pan zapewne historię niedzickiego testamentu Inków i pogłoski, że część skarbu wykopano przy budowie zapory....

Dyrektor Kiper ma, jak się okazuje, poczucie humoru:

— Żałuję bardzo, że te pogłoski są nieprawdziwe. Gdyby tak było, nie mielibyśmy może kłopotów z zakupem turbin za granicą. A tak, te kłopoty istnieją, energetycy stoją i w związku z tym jesteśmy już opóźnieni o cały rok w robocie.

* * *

Wracam do niedzickiego zamku. Za mną, w malowniczej kotlinie, została wieś Niedzica z górującą nad nią wieżą zabytkowego kościoła. Dziś jest to wieś bogata, prawie wszystkie domy piętrowe, murowane, wiele z nich przypomina pensjonaty. Nic dziwnego, jest to wieś letniskowa, a wszystko wskazuje na to, że jej „stan posiadania" wzrośnie, gdy w bezpośrednim sąsiedztwie powstanie zbiornik rekreacyjny.

Odprowadza mnie rząd starych, wyniosłych modrzewi poprzetykanych brzozami. Modrzewie są zielone, brzozy zaczynają się żółcić: dotknęła je już ręka jesieni. Jest to kompozycja jedyna w swoim rodzaju.

Gdy zbliżam się do zamkowego wzgórza, z okolicznych drzew zrywają się kawki i osiadają na najwyższej, czworokątnej baszcie. Może więc zamek nie jest tak bardzo zagrożony?

Przed zamkową bramą stoi jak zawsze pan Franciszek, w kurtce i w berecie, z pękiem kluczy w dłoni. Czeka na przybycie kolejnej wycieczki do Niedzicy.

TADEUSZ GICGIER

LIST GOŃCZY

Roman Samsel jest prozaikiem i reporterem i ten fakt dwoistości uprawianych gatunków daje się zauważyć w jego ostatniej książce. „List gończy" powstał niewątpliwie w wyniku podróży po krajach latynoamerykańskich i Półwyspu Iberyjskiego. Reporterskie wrażenia z tej podróży stały się kanwą i pretekstem dla pokazania spraw polskich widzianych z zewnątrz. Nie ulega wątpliwości, a potwierdza to również autor, że w Ameryce Południowej bardzo mało wiedzą o Polsce, jak zresztą i my niewiele wiemy o sprawach tamtego kontynentu. Tym niemniej niezwykle skomplikowane losy Polaków wiążą się przecież z krajami Południowej Ameryki, a to daje powód do próby pokazania naszych spraw z takiego oddalenia, jak i do tego, aby na tamtym tle rysować psychologiczne portrety ludzi.

W prozie Romana Samsela daje się odczuć autentyczność przeżyć i obserwacji, a niekiedy jego opowiadania przekraczają nieuchwytną granicę reportażu. Lektura to ze wszech miar interesująca, bo daje ona nie tylko relację z reporterskiej wędrówki, ale pogłębiona jest o wątki psychologiczne, polityczne i społeczne.

Roman Samsel — „List gończy", Czytelnik, W-wa 1977, str. 132, cena zł 13.—

CO SIĘ ZDARZYŁO W 1976 ROKU?

Krajowa Agencja Wydawnicza, już po raz drugi wypuszcza na rynek niezwykle pożyteczną książkę, jaką jest „Kalejdoskop — Wydarzenia 76". Jest to przegląd najważniejszych wydarzeń, jakie miały miejsce w ubiegłym roku na wszystkich kontynentach naszej planety, a także w ruchu robotniczym, w międzynarodowych organizacjach gospodarczych i politycznych oraz w walce o pokój i rozbrojenie. Przejrzysty, chronologiczny układ zapewnia czytelnikowi łatwe odnalezienie tych wydarzeń, które go aktualnie interesują. Zaletą książki jest również i to, że ukazuje się ona dość wcześnie, bo w połowie roku, umożliwiając tym powrót do niedawno zaszłych wydarzeń.

Wydawnictwo to powinno przede wszystkim zainteresować nauczycieli, dziennikarzy, lektorów szkolenia partyjnego, naukowców, a także może być przydatne studentom i maturzystom. Fakt, że „Wydarzenia 76" szybko znikają z półek księgarskich dowodzi, że książka odpowiedziała na społeczne zapotrzebowanie. Wydaje się jednak, a jest to chyba technicznie możliwe, że taką pozycję KAW mogłaby wydawać dwa razy do roku, zamykając w każdej publikacji te wydarzenia, które zaszły w I i II półroczu. W ten sposób przegląd najważniejszych wydarzeń szybciej docierałby do czytelnika, umożliwiając mu pełniejsze wykorzystanie tej pożytecznej publikacji.

Jerzy Barszczewski— „Kalejdoskop — Wydarzenia 76", KAW, W-wa 1977, str. 560, cena zł 70.—

KRYTYCY O BRECHCIE

Państwowy Instytut Wydawniczy w serii „Wielcy pisarze w oczach krytyki światowej", redagowanej przez Henryka Krzeczkowskiego, opublikował książkę pt. „Brecht w oczach krytyki światowej". W książce tej znalazły się eseje krytyków różnych narodowości i światopoglądów. Są wśród nich i tacy, którzy zaliczali się do przyjaciół pisarza, albo znajdowali się w kręgu jego twórczego oddziaływania, choć nie zawsze i nie we wszystkim z nim się zgadzali.

Bertolt Brecht, pisarz, poeta i twórca teatralny był przede wszystkim pisarzem politycznym, w którego twórczości zaangażowanie w aktualne problemy polityczne odgrywało podstawową rolę. Dlatego też i w esejach, poświęconych jego twórczości, które zebrał i przedstawił w książce Roman Szydłowski — można odnaleźć nie tylko problemy artystyczne twórczości Brechta, ale również problemy polityczne jego czasu.

Roman Szydłowski wybór esejów o twórczości Bertolta Brechta zaopatrzył w kalendarium życia i działalności pisarza. Książka ta ukazała się, obok innych, poświęconych twórczości Hemingwaya, Prousta, Tomasza Manna, Czechowa, Tołstoja i Conrada.

„Brecht w oczach krytyki światowej" — wybór R. Szydłowski, PIW, W-wa 1977, str. 570, cena zł 80.—

SKARB BARONA

Starsi czytelnicy pamiętają zapewne książki Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego i wiedzą, że ten były wykładowca uniwersytetu w Tomsku, podróżnik i pisarz, był w czasie rewolucji na terenach dzisiejszej Mongolii. Tam też spotkał się z baronem Romanem Teodorowiczem Ungernem dowódcą azjatyckiej dywizji konnej. Antoniego F. Ossendowskiego i barona Ungerna łączył wspólny antysowietyzm. Baron Ungern podejmował krótko Ossendowskiego, a następnie wyposażył go na dalszą drogę i, jak twierdzą niektórzy, powierzył mu tajemnicę legendarnych skarbów.

Witold St. Michałowski w książce „Testament barona" opisuje dokładnie życie białego chana — jakim mianował się baron Ungern, dzieje azjatyckiej dywizji konnej, jej rozbicie, ujęcie „krwawego barona", sąd nad nim i rozstrzelanie go przez władze radzieckie. Witold St. Michałowski opisał też dzieje dwu polskich pisarzy, których losy zetknęły się z baronem Ungernem: Antoniego F. Ossendowskiego i Kamila Gliżyckiego. Na ich dalsze życie, niemal do samej śmierci, kładł się cień „krwawego barona". Wiadomo bowiem było, że jeden z nich (a może obaj) znali tajemnicę ungernowskich skarbów.

Autor „Testamentu barona" nie ograniczył się do opowiedzenia dość znanych faktów, ale nawiązał kontakt z żyjącą dziś jeszcze rodziną barona Ungerna, prześledził jej wojenne i powojenne losy, starając się trafić na ślad testamentu. Sporo więc jest w tej książce nie wyjaśnionych tajemnic, interesujących hipotez, sporo domniemywań. Nie ma natomiast ostatecznego wyjaśnienia tajemnicy skarbu. A dlaczego — sam musi sobie na to pytanie odpowiedzieć czytelnik, przeczytawszy do końca tę interesującą książkę.

Witold St. Michałowski — „Testament barona", LSW, W-wa 1977, str. 179, cena zł 28.—

WARTO PRZECZYTAĆ

M. Reniak — „Niebezpieczne ścieżki", Iskry, cena zł 24.
A. Schiller — „Ani wiersz ani proza", WL, cena zł 10.
G. Milew — „Poematy i proza liryczna", WL, cena zł 10.
W. Faber — „W cieniu ognia", WL, cena zł 10.
A. Snerg-Wiśniewski — „Robot", WL, cena zł 40.
L. Prorok — „Tsunami". Opowiadania. Czytelnik, cena zł 24.
J. Drzeżdżon — „Leśna dąbrowa", WŁ, cena zł 14.
W. Fijałkowski — „Stefan Bryła". Współczesne życiorysy Polaków". Iskry, cena zł 12.
B. Drozdowski — „O poezji". Szkice, Iskry, cena zł 38.
S. Majchrowski — „Dickens". Opowieść biograficzna, LSW cena zł 83.
„Ikonografia romantyczna". Materiały Sympozjum Komitetu Nauk o Sztuce Polskiej Akademii Nauk, Nieborów, 26—28 czerwca 1975 r., PWN, cena zł 90.
H. Kajzar — „Sztuki i eseje", CPK, cena zł 90.

RECENZJE

SZEKSPIR W TEATRZE JARACZA

W. Szekspir: Koriolan, Koriolan — B. Antczak, Tullus Aufidiusz — J. Tesarz. *Foto: L. Myszkowski*

„Koriolan" należy do rzadziej wystawianych dramatów Szekspira, chociaż ze względu na zawartość myślową tragedia ta nie ustępuje wcale wielkim kronikom historycznym angielskiego dramaturga. Trudności, jakich przysparza ona inscenizatorom, wynikają przede wszystkim z dwóch powodów. Jednym z nich jest niedostateczna — przynajmniej jeśli chodzi o przyzwyczajenia dzisiejszego widza — motywacja psychologiczna postępowania bohaterów dramatu, co sprawia wrażenie nieprawdopodobieństwa rozwoju fabuły. Drugą stanowi fakt, iż dramat ten wymaga od reżysera niemałych umiejętności w zakresie operowania na scenie tłumem, co w teatrze nie należy do rzeczy najłatwiejszych.

Z pierwszą z wymienionych trudności inscenizator spektaklu w Teatrze im. S. Jaracza, **Jan Maciejowski**, wspomagany dobrą robotą aktorską, poradził sobie dokonując zdecydowanych cięć tekstu w celu zasygnalizowania jedynie najważniejszych zwrotów akcji (widoczne to głównie w 2 części przedstawienia), pragnąc nie tyle uzasadnić jej prawdopodobieństwo, ile zaakcentować ważkość poszczególnych scen dla ogólnej idei spektaklu. Druga trudność nie była tak łatwa do pokonania, chociaż jej przezwyciężenie mogłoby być rzeczą bardziej istotną dla wybranej koncepcji interpretacyjnej.

„Koriolana", jak zresztą każde arcydzieło Szekspira, odczytywano już na wiele sposobów. Najczęściej pisano o nim jako o „tragedii pychy", tragedii człowieka zbyt dumnego, by mógł się nagiąć do wymagań ustroju republikańskiego. Usiłowano również zinterpretować dramat jako przedstawienie „historii walki klas" lub jako tragedię niedoskonałego ustroju politycznego. Maciejowski przeszedł jak gdyby ponad tymi interpretacjami, próbując znaleźć formułę ideową swojego przedstawienia w odniesieniu go do — nazwijmy to tak — filozofii polityki. Spektakl staje się z jednej strony obrazem technik manipulacji ludem, a z drugiej — przedstawieniem tragedii człowieka, który zbyt sobie ceni wolność wyboru swojego postępowania, by ulec regułom gry politycznej. W pierwszym przypadku tragiczną ofiarą jest lud, plebs rzymski, wykorzystywany przez tych, którzy mienią się jego trybunami, w drugim — Koriolan, którego nie stać na kompromis w życiu politycznym, co decyduje o jego klęsce jako męża stanu, a który, idąc na kompromis ze względów osobistych i humanitarnych, ponosi śmierć jako człowiek. Konsekwentnie do takiego ujęcia problematyki przedstawienia wyakcentował reżyser przede wszystkim funkcję trzech postaci: Kajusa Marcjusza-Koriolana oraz dwóch trybunów ludu: Sycyniusza Welutusa i Juniusza Brutusa.

Rola **Bogumiła Antczaka**, kreującego postać Koriolana, została opracowana zgodnie z głównymi założeniami inscenizacji, w której główny bohater przedstawiać ma człowieka nie tylko bezkompromisowego w życiu politycznym, ale i obnażającego swoim postępowaniem fałsz tego życia. Pogarda i obraźliwość tonu jego wypowiedzi skierowanych do ludu nie jest wyrazem jedynie pychy bohatera, co byłoby zapewne najprostszym sposobem interpretacji postaci. Antczak stara się wykorzystać cechę bezkompromisowości swojego bohatera dla dekamuflażu nieautentyczności roli, którą społeczność pragnie mu, jako przyszłemu konsulowi, narzucić, a na której fałsz nie chce się zgodzić. Konflikt między autentycznością jednostki a konwencjonalizmem narzucanym jej przez rolę społeczną stoi u podstaw ujęcia postaci Koriolana przez Antczaka. Unika tutaj aktor pułapki spłycenia tej postaci przez sprowadzenie jej charakteru do jedynej cechy, która motywowałaby jej postępowanie. Stwarza postać o wieloznacznych funkcjach w ramach samego przedstawienia, postać której koncepcja zbudowana jest na konflikcie wynikającym z głębokiego przemyślenia kwestii, jaką ze sceny wypowiada: „Raczej będę na swój sposób ich sługą niż na ich sposób ich władcą".

Na osobne słowa uznania zasługuje aktorstwo trybunów ludu interpretowanych przez **Stanisława Jaroszyńskiego** i **Macieja Małka.** Ograniczając się do przyciszonych środków aktorskich, stworzyli postacie intrygantów politycznych, których działanie doprowadza do klęski jednostek i ludu. Oszczędność gestu, wyciszenie głosu, operowanie ekspresją tylko wtedy, gdy podporządkowane to jest celowi oddziaływania na tłum, a tym samym świadome wygrywanie sztuczności takiej ekspresji — wszystkie te środki aktorskie stwarzają z nich postaci groźne i niebezpieczne w sposób wielce przekonujący.

I wreszcie trzeci wielki bohater dramatu — lud rzymski, odgrywający w spektaklu rolę chyba najistotniejszą. Tłum decydujący o losach Koriolana, głosujący, gardłujący, groźny i słaby, buntujący się i... manipulowany. Wielość jego twarzy nie zawsze została w spektaklu udatnie wydobyta. Nie zawsze sprawia wrażenie groźnego, gdy wymaga tego sytuacja, nie zawsze jego bunt jest przekonujący, a ponadto jest zbyt mało zróżnicowany w reakcjach osobników go tworzących. Sceny z tłumem — jak powiedziano — należą w teatrze do najtrudniejszych przy opracowywaniu i nieczęsto może z nimi sobie poradzić reżyser i zespół aktorski. W spektaklu Maciejowskiego czytelna jest funkcja, jaką wyznaczył tłumowi reżyser w całościowej wymowie przedstawienia: gorzej jest jednak z samą realizacją intencji inscenizatora, którą nie wszyscy aktorzy chyba rozumieją.

Dużo większe zastrzeżenia budzi scena ze służącymi Aufidiusza, w której niewybredne chwyty aktorskie stoją w niezgodzie z wypowiadanymi kwestiami. Szeksipr co prawda wprowadzał tego rodzaju sceny do swoich dramatów, ale przy cięciach tekstowych w drugiej części przedstawienia, służących zagęszczeniu akcji, scena powyższa nie wydaje się konieczna.

Jan Maciejowski, kładąc nacisk w swoim spektaklu przede wszystkim na konflikt między Koriolanem i ludem, mniejszą rolę wyznaczył innym bohaterom dramatu. Stąd role **Jana Tesarza** (Tullus Aufidiusz) i **Marii Kozierskiej** (Wolumnia, matka Koriolana), choć ważne dla rozwoju fabuły, mniejsze mają znaczenie dla głównej idei przedstawienia. Jedynie **Kazimierz Iwiński** w roli Meneniusza Agryppy, będącego reprezentantem patrycjatu rzymskiego, stwarza postać wielce charakterystyczną dla figur biorących udział w grze politycznej, o którą w spektaklu głównie chodzi — postać ugodowca, by nie powiedzieć — oportunisty.

Ale i on także ponosi klęskę. Bowiem w świecie tragedii Szekspira nie ma zwycięzców. Zwycięzcy istnieją poza tym światem: jak Fortynbras w „Hamlecie", jak Aufidiusz w „Koriolanie".

Niejednokrotnie tragiczna wizja świata Szekspira prezentowana jest przez historię walk politycznych. Jan Maciejowski odczytał „Koriolana" jako dramat polityczny, którego główny konflikt oparty został na opozycji między jednostką, która pragnie rządzić, a tłumem który chce zawładnąć jednostką. W dramacie Szekspira wszystkie strony, biorące udział w tej grze, są przegrane; nawet ta, która usiłuje pogodzić siły będące w konflikcie. Refleksję widza spektaklu w Teatrze Jaracza, znającego późniejszą historię Rzymu, winien budzić fakt, że wszystko to dzieje się w okresie, gdy Rzym był jeszcze republikański i demokratyczny.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

William Szekspir „Koriolan", Spolszczył Jerzy S. Sito. Reżyseria: Jan Maciejowski. Scenografia: Łucja Kossakowska. Muzyka: Piotr Hertel. Premiera 2 października 1977 roku.

KORONACJA

Ta powieść nie jest czytadłem. Autor nie umila życia czytelnikowi ponętami scen erotycznych, emocjami przygód partyzanckich czy tak mile widzianymi przez czytelnika — wydawcę opisami produkcji. Nie wyposaża również czytelnika w konkretniejszą wiedzę o przedakcji — ściślej, o istocie krzywdy, jaką ludzie obdarzeni zaufaniem wyrządzili w okresie minionym bohaterowi książki, Karolowi, ongiś wybitnemu — jak należy domniemywać — dowódcy oddziału — jak można przypuszczać — akowskiego. Tymczasem książka od kartonu do kartonu (reglamentowanie odnośnych surowców stoi dziś na przeszkodzie czytaniu od deski do deski) poświęcona jest przygotowywaniu i realizacji zemsty ze strony człowieka — niezbyt wiadomo, czy rzeczywiście aż tak dotkliwie pokrzywdzonego, czy jedynie tylko święcie przekonanego o ogromie krzywdy.

A więc „Koronacji" nie czyta się łatwo. Zwłaszcza, że mimo dobrej dramaturgii toczący się w niej ustawicznie (i to często w tonacji patetycznej, z użyciem licznych katachrez) dyskurs o winie i konieczności kary dla człowieka, który w sytuacji ciężkiej zawiódł zaufanie bohatera, wywołuje wrażenie pewnej monotonii. A jednakże owa żmudna droga oczu i naginanej uwagi od kartonu do kartonu opłaca się czytelnikowi.

Niemałą satysfakcję sprawi mu już samo obcowanie z warstwą stylistyczną powieści. Triumfuje w niej autorskie (nie tylko prozaika, lecz i interesującego poety) wyczucie formy, urody i celności słowa i jakże potrzebny dla umiejętnego posługiwania się oksymoronem na przestrzeni dziewięciu arkuszy prozy — dar wynalazczości. Ale że nikt rozsądny, poza lingwistami nie sprowadza wartości utworu wyłącznie dla jego zalet formalnych, zajmijmy się stroną problemową „Koronacji".

Czas zawiązania akcji został przez Horaka określony jako okres XX Zjazdu. Zmiana atmosfery pozwala na opuszczenie w głuchej puszczy chaty leśnika (odpowiednik w życiu realnym czapki-niewidki) przez Karola, który miał powody, choć, jak się autor każe domyślać, niezbyt istotne, żeby się wcześniej nie ujawnić. Horak nie zatrzymuje jednak uwagi czytelnika na rozpamiętywaniu tamtej chwili i jej realiów w życiu kraju. Nie dlatego, by nie popaść w ewentualne kłopoty związane z pisaniem powieści rozrachunkowych, lecz żeby problemowi, o którym niżej, nadać walor uniwersalności.

Stosunek Karola do ludzi, którzy ugięli się pod naciskiem czasu i okoliczności i ześliznęli się z pozycji prawości i lojalności (to oni właśnie dla niezbyt dla czytelnika jasnych, lecz podobno wrednych pobudek zaaranżowali wieloletnie ukrywanie się byłego konspiratora) jest diamentralnie różny od stosunku — dla przykładu — Szczuki w „Popiele i diamencie" do człowieka, który w warunkach normalnych był bez zarzutu, a w sytuacji brutalnego zagrożenia ześwinił się. Tamtemu, jak wiadomo, Szczuka, gdy warunki wróciły do normalnych, dał szanse rehabilitacji. Postąpił tak i zgodnie z nakazami humanistycznej wielkoduszności, i zgodnie z wiedzą o niejednakowej odporności psychofizycznej poszczególnych ludzi i powodowany przekonaniem, że człowiek ten w normalnych warunkach stanie się znów społecznie użyteczny. Bohater Horaka, przeciwnie, nie znajduje dla człowieka, na którym się zawiódł, jakichkolwiek okoliczności łagodzących. Nie przyjmuje też do wiadomości żadnego z logicznych i przekonywająco brzmiących argumentów. Jest nieprzenikliwy dla takich uczuć jak litość i tak czcigodnych cnót jak wybaczenie. Reakcją na doznaną krzywdę będzie dlań dążenie do całkowitego unieszczęśliwienia krzywdziciela. Nie uważa się również za człowieka dokonującego prywatnych porachunków, lecz za ramię karzące Sprawiedliwości przez wielkie S.

Dodajmy jeszcze, że bohater Horaka również w całkowitym przeciwieństwie do bohaterów epilogowych partii prozy okupacyjnej Bratnego, którzy z „duszących centaury" przedzierzgnęli się po dziesiątku lat w trzeźwych życiowo cywilów-mieszczuchów, nie rozmundurowują się. Czas wobec niego a także jego dawnych towarzyszy broni i podkomendnych, nie spełnia absolutnie swej zwyczajowej roli sprawcy zanikania węzłów kombatanckich i rozpadania się hierarchi służbowych wraz z konsekwencji oraz (jakby zapomniawszy, że poinformował czytelników o jego niskim wykształceniu) własnej kultury humanistycznej i erudycji. Siłę przekonania Karola w słuszność swego postępowania, jego nieustające serdeczne wzburzenie i rozpierającą pasję działania pokazuje Horak z taką ekspresją, żarem wewnętrznym, że czytelnik gotów jest bez mała do końca wierzyć, że autor „Koronacji" indentifikuje się ze swym bohaterem. I dopiero o tym, że tak jednak nie jest, uprzedza czytelnika scena końcowa. Karol spotyka pocieszne dziecko, które chciałoby zobaczyć króla, i oświadcza dziecku żartobliwie, iż on jest właśnie królem. Symboliczna wymowa tego zakończenia stanie się jasna, gdy przeczytamy o kilka linijek wyżej taki passus z monologu wewnętrznego Karola: „Trzymałem w ręku życie innych ludzi, były dnie, w których zabierałem im to życie i darowywałem, był czas, kiedy rządziłem sobą i nie słuchałem nikogo". Tak więc Horak, dystansując się wyraźnie od swego bohatera, podaje motyw nadrzędny kierujący postępowaniem ludzi jego pokroju i curriculum vitae — przeniesionych w czasy pokojowe, w których liczą się inne już wartości i kwalifikacje: był nim zaszczepiony w latach pistoletu automatycznego i nie znajdujący potem ujścia instynkt władzy.

Powiedziałem: powieść niełatwa i przewrotna, przemawiająca językiem aluzji i obrazu o randze symbolu, unikająca komentarza expressis verbis. Zatem powieść nie dla amatorów czytadeł, czyli lektury bez wysiłku. Powieść niepokojąca, zmuszająca do myślenia i samodzielnego poszukiwania odpowiedzi w materii złożonej. A zatem powieść rzeczywiście nachylona nad życiem i rzeczywiście realistyczna, ponieważ w życiu nie ma spraw nie złożonych i rozwiązywalnych z łatwością, z jaką, powiedzmy, bohater „Pana Tadeusza" pociągał za sznurek i z jaką — dodajmy — kaligrafują gładkie opowieści i wierszyczki dla małych i starych dzieci gładkim piórem różni właściciele jednoosobowych literackich przesiębiorstw dochodowych.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Stanisław Horak „Koronacja", Wydawnictwo „Śląsk", Katowice 1976, cena zł 18.—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

SATYRA PRAWDĘ MÓWI...

„Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka..." — wołał przed laty sam książę polskich satyryków, biskup Ignacy Krasicki. W wiele lat później inny polski satyryk, Benedykt Hertz, pisał: „Satyra tego gniewa i ten jej się boi, komu rychtyk trafia w sedno".

„Niech się miota złość na cię
i chytrość bezczelna
Ty mów prawdę, mów śmiało, satyro rzetelna"

— to jeszcze jedno przykazanie biskupa Krasickiego.

Jak wieść niesie, nie przestraszyła się ani złości ani chytrości bezczelnej czwórka satyryków łódzkich — i niebawem mieć będziemy w Łodzi dużą wystawę rysunków satyrycznych.

Byłoby może przesadą nazwać wystawę tej czwórki artystów — wystawą Wielkiej Czwórki. Jest to jednak z całą pewnością Duża Czwórka.

Karol Baraniecki, Stanisław Ibis-Gratkowski, Andrzej Grun i Józef Skonieczny znani są czytelnikom prasy — i to czytelnikom różnych pokoleń.

Baraniecki debiutował w roku 1928 w lwowskim „Pociągu", publikował w „Szczutku", „Wróblach na Dachu", „Sygnałach" i przedwojennych „Szpilkach". Po wojnie zna go wielomilionowa rzesza czytelników „Karuzeli".

Ibis-Gratkowski zaczął publikować trzydzieści lat temu w powojennych już „Szpilkach", „Przekroju" i „Świecie" — a dziś prezentuje swoje oryginalne prace na łamach „Karuzeli".

Andrzej Grun satyrą zajmuje się na marginesie grafiki artystycznej, ale też ma już od lat ustaloną markę. To on stworzył pamiętny cykl „Fryzury" na łamach „Odgłosów" — serię rysowanych satyr, felietonów i refleksji, bo tak chyba można określić owe metaforyczne i nieco rozwichrzone „Fryzury".

Wreszcie Józef Skonieczny — również od lat trzydziestu uprawiający rysunek satyryczny i humorystyczny. Zaczynał w „Rózgach" i „Kocyndrze" — na stałe związany jest z „Głosem Robotniczym".

Będzie to więc wystawa naprawdę Dużej Czwórki, a w każdym razie Czwórki bardzo dla polskiej satyry reprezentatywnej. Od nestora Baranieckiego po czterdziestolatka Gruna, od bardzo malarskiego Gratkowskiego po oszczędną kreskę Skoniecznego.

Zresztą, pozwólcie, że odwołam się do klasyków. Może nie tych największych, ale z pewnością kompetentnych. Wojciech Drygas — redaktor naczelny „Karuzeli" — pisze: „Żywe drgnięcia kreski, powodowane dłonią rysownika, dyktują taką grę elementów plastycznych, aby świadomie przejaskrawiać, celowo obnażać i deformować, wzbudzając i śmiech i głębszą refleksję. U jednego będzie to obraz bardziej żartobliwy, u drugiego — ironizujący czy szyderczy, u innego wręcz drapieżny, czy demaskatorski; niektórzy posłużą się aluzyjnym znakiem, bądź symbolem, niekiedy intelektualnym hieroglifem; są i tacy, co z pasją tworzą publicystyczne skróty, łącząc temperament artysty z dziennikarskim autentyzmem i dociekliwością".

Słowa te, napisane przed laty przy okazji retrospektywnej wystawy satyry i dotyczące całej czwórki polskich rysowników — idealnie pasują do twórczości prezentowanej tu Dużej Czwórki. Jeszcze jedno potwierdzenie, że jest to Czwórka reprezentatywna dla całego nurtu współczesnej polskiej grafiki spod znaku satyrycznego kaduceusza.

Edmund Osmańczyk pisze: „Polska satyra zyskała w Polsce Ludowej światową rangę i narodową użyteczność. Polscy satyrycy zdobyli rozgłos po raz pierwszy na miarę światową, a jednocześnie — co za cud! — są znani i cenieni we własnym kraju. Ich indywidualności są tak wyraziście zaznaczone w najmniejszej kresce, w najdrobniejszej plamie — że każdy z nich stanowi odrębny świat impresji, ekspresji, depresji i represji".

WIDOK

Foto: G. Puciato

LEWYM OKIEM

SIEDEM MILIARDÓW

Ktoś obliczył niedawno w „Życiu Gospodarczym", że prywatne rozmowy telefoniczne, prowadzone w godzinach pracy z aparatów służbowych, kosztują naszą gospodarkę w skali kraju około siedmiu miliardów złotych rocznie. Obliczenie zrobiono po to, żeby wyciągnąć wniosek, że taniej wyniosłoby założenie wielu tysięcy nowych prywatnych telefonów i niech by się ich posiadacze zabawiali rozmowami na własny rachunek, w godzinach pozasłużbowych. Jest to wniosek efektowny i błyskotliwy, mający świadczyć o tak zwanym myśleniu ekonomicznym. Przy tym jednakże jest zbyt prosty, aby mógł być bez reszty prawdziwy.

Nie wiem, jaką metodą doszedł autor omawianego artykułu do sumy siedmiu miliardów. Wydaje mi się przede wszystkim, że co do dużej części prowadzonych rozmów mielibyśmy wątpliwości, czy zaliczyć je do prywatnych, czy do służbowych. Jeśli nawet do prywatnych — to czy ich pokaźna część nie jest z kolei uzasadniona względami służbowymi — kiedy na przykład dyrektor zawiadamia żonę, że nie przyjdzie na obiad, bo przyjechała niespodziewana kontrola, lub kiedy zaopatrzeniowiec składa życzenia imieninowe dostawcy, od którego zależy tuzin sławetnych uszczelek. Zaopatrzeniowcy — co wiemy z kilku reportaży w prasie — i tak z własnej kieszeni stawiają czekoladki i koniaki. Czy jeszcze mają dopłacać do rozmów zwykłych i międzymiastowych, składając życzenia wieczorem?

Nie wiadomo, czy siedem miliardów to hipotetyczny koszt samych tylko połączeń telefonicznych, czy także czasu, zużytego na te rozmowy a opłaconego przez fundusz płac, czy jeszcze dobitniej: także wartość produktu, jaki powinien być w tym czasie wykonany. Jakby jednak nie liczyć, prywatne rozmowy telefoniczne w zakładach pracy trwają wielekroć krócej niż rozmowy w ogóle, a tym bardziej: niż bezczynność w ogóle. Czasu zmarnowanego na towarzyskie pogwarki, na pisanie prywatnych listów, rozwiązywanie krzyżówek, rozpamiętywanie najróżniejszych kłopotów i przygód, na zwyczajne myślenie o niebieskich migdałach i niemyślenie o niczym, — nikt nie próbował zmierzyć i zresztą nie wiadomo, jakby to można było zrobić. Mierzono już stoperami czas dyrektora, majstra, robotnika przy taśmie. Przeprowadzono setki sondaży, powstawały z tego pełne wykresów doktoraty. Nikt jednak nie poda w ankiecie, że od dziewiątej pięć do jedenastej dziesięć, udając że pracuje koncepcyjnie, pogrążony był w przyjemnej nirwanie. Bezczynność rąk można zauważyć. Wyłączenie się mózgu pozostaje poza kontrolą. Można przerwać rozmowę telefoniczną pannie Tosi, kiedy zaczyna chichotać w słuchawkę i szczebiotać o tym, jak i przez kogo była wczoraj ubrana koleżanka, trudniej mieć pretensję do pani Stefy, kiedy sprawdza przez telefon, czy Wojtuś już się obudził i czy wziął sobie kawusię z termosu. Takich zdalnie kierowanych dzieci mamy już cały legion i nie ma tu się z czego śmiać, to poważny problem społeczny. Aparaty służbowe jako tako ratują sytuację — ale co z domami, gdzie nie ma telefonu? Co tam robi Wojtuś i jak się czuje jego matka w drugim końcu miasta?

Kiedy w takich domach zawisną wreszcie telefony, matki skorzystają z nich na pewno i zwiększy się ilość rozmów w godzinach służbowych. Odpadną — być może — rozmowy przyjaciółek, jeśli te przyjaciółki zyskają możność podzwonienia do siebie wieczorem bez biurowych świadków. Przybędzie rozmów, nie przeznaczonych dla świadków domowych. Nie zmieni się ilość tych rozmów, gdzie pracownik jest petentem chcącym załatwić sprawę prywatną w jakimś urzędzie lub instytucji, bo takich adresatów poza godzinami pracy nie zastanie. Skłonny byłbym założyć, że „per saldo" zagęszczenie sieci telefonicznej powiększy nieproporcjonalnie ilość rozmów, czyli ilość spraw, załatwianych drogą telefoniczną, ale chyba bez istotnych zmian w stosunku pomiędzy rozmowami z aparatów prywatnych i służbowych, a także, w odniesieniu do tych drugich — bez zmiany w proporcjach tematów służbowych i osobistych. Skorygowanie tych proporcji wymagałoby spełnienia wielu jeszcze warunków: obyczajowych, nawykowych, organizacyjnych, wreszcie — stymulowanych przez wewnętrzną dyscyplinę i takt. Ale tak czy owak — najistotniejszą korzyścią należycie rozwiniętej sieci będzie przecież właśnie możność załatwienia przez telefon mnóstwa spraw, obojętne jakich, które dziś wymagają kontaktu osobistego, angażują czas, niszczą nerwy. Będzie to korzyść może i więcej warta niż siedem miliardów złotych, i to obojętne z czyjej kieszeni.

ĆWIEK

SPORT

TEORIA I PRAKTYKA

Fakty są znane. 19 października, w środę, Widzew Łódź przegrał z PSV Eindhoven 3:5, a Górnik Zabrze z Aston Villa 0:2. Po sensacyjnej niespodziance, jaką sprawił Widzew eliminując Manchester City z dalszych pucharowych rozgrywek, niektórzy kibice mieli nadzieję, że widzewska drużyna znów da z siebie wszystko i przynajmniej zremisuje z Holendrami. Taką nadzieję można było jeszcze mieć przez pierwsze 20 minut meczu. Widzewiacy nie bali się Holendrów, atakowali śmiało i stworzyli kilka okazji do zdobycia bramki. Objęli nawet prowadzenie, ale w tym momencie doszły do głosu stare nawyki.

W pucharowych rozgrywkach spotykają się drużyny, które na ogół nic o sobie nie wiedzą, a przeciwnika poznają dopiero w trakcie meczu. Pierwsze kilkanaście minut, a czasem i cała pierwsza połowa poświęcona jest na rozszyfrowanie rywala. Tylko, że na taką taktykę mogą sobie pozwolić drużyny wysokiej klasy, do której niestety, należał przeciwnik Widzewa. Tej umiejętności natomiast nie posiadały obie polskie drużyny występujące w pucharowych rozgrywkach UEFA.

Zafascynował nas wszystkich wysoki wynik, jaki padł na stadionie w Łodzi, chociaż tego samego dnia na wielu stadionach Europy padły podobnie wysokie rezultaty. A zafascynowało te osiem bramek, bo również w środę, w naszej kolejce ligowej, na sześć rozegranych meczów padło zaledwie siedem bramek, czyli o jedną mniej niż w jednym tylko meczu Widzewa z PSV Eindhoven. Polscy kibice i polscy piłkarze przyzwyczaili się do tego, że strzelenie jednej bramki decyduje najczęściej o zwycięstwie. Tak gra nasza liga i to przede wszystkim zaszkodziło Widzewowi.

Widzewska jedenastka, po zdobyciu prowadzenia, rozluźniła obronę, zdekoncentrowała się, bo uwierzyła, na podstawie praktyki ligowej, że jedna bramka to już strasznie dużo. Obie pierwsze bramki strzelone przez Holendrów padły z ewidentnej winy łódzkiej obrony. Błędy popełniały zresztą w tym meczu oba zespoły, ale jeśli Holendrzy, mając zdecydowaną przewagę, mogli sobie na pewien luz pozwolić, to rozluźnienie w zespole Widzewa było niewybaczalne. Obie drużyny prowadziły otwartą i zdecydowaną grę do ostatniej minuty meczu, co rzadko się zdarza na naszym ligowym podwórku. Stąd właśnie zachwyty nad heroiczną, jak to niektórzy kreślali, postawą Widzewa. A przecież taka heroiczna postawa powinna być normalnym obowiązkiem każdej drużyny.

Teoretycznie obie polskie drużyny mają jeszcze szansę awansu do następnej tury rozgrywek, co zresztą z niejakim optymizmem podkreślali sprawozdawcy telewizyjni, a szczególnie Andrzej Zydorowicz, relacjonujący mecz Górnika Zabrze z Aston Villa. Powiedział on, że Górnik musi pokonać Anglików 3:0. Taki sam wynik musi uzyskać w Holandii Widzew. Na podstawie tego cośmy jednak widzieli na boisku w Łodzi i w Birmingham trudno przypuszczać, że przeciwnik będzie spokojnie stał i uprzejmie czekał, aż się spełnią nasze marzenia. Jeśli tak się stanie, ucieszę się szalenie, o czym nie omieszkam napisać. Pamiętam jednak taki mecz w Sofii, kiedy to Śląsk Wrocław przegrał 3:0 z Lewskim Spartakiem, a radiowy sprawozdawca był święcie przekonany, że wrocławska drużyna odegra się na własnym boisku.

Wszystko wskazuje na to, że niedługo pożegnamy się z pucharowymi rozgrywkami, ale niech to pożegnanie czegoś nas wreszcie nauczy. PZPN powinien zrozumieć, że jeśli nie poprawi się poziom gry w lidze, nie zmieni się systemu szkolenia w klubach, to nie tylko będziemy w dalszym ciągu kończyć nasze występy w pierwszej lub co najwyżej drugiej rundzie pucharowych rozgrywek. Również przyszłość polskiej reprezentacji — która niby jest, ale raczej jej nie ma — będzie nadal znajdowała się pod znakiem zapytania. Bo czego się mały Jasio w klubie nie nauczy, tego mu duży Jacek na konsultacjach do głowy nie wbije. W piłce nożnej potrzebne są zarówno dobre nogi jak i dobra głowa.

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

18 KILO GRUSZEK

Nie będę nielojalny wobec tych wszystkich, którzy jeszcze „Psów wojny" nie czytali, a mają zamiar to zrobić, jeśli napiszę, że jest to opowieść o przygotowaniach do zamachu. Zamach ten przygotowuje najemny żołnierz Cat Shannon na zlecenie sir Jamesa Mansona, prezesa i naczelnego dyrektora Manson Consolidated Mining Company Limited. Zamach ma być dokonany w wymyślonej afrykańskiej republice Zangaro, a u jego podłoża leży fakt, że w tej wyimaginowanej republice odkryto wyimaginowane pokłady platyny. Reszta mogła się zdarzyć naprawdę i Frederick Forsyth, autor książki „Psy wojny", ujawnia mechanizm imperialistycznych machinacji.

Mechanizm ten może działać niezwykle precyzyjnie, gdyż posługuje się nim doskonały fachowiec, Cat Shannon, chociaż całe to przedsięwzięcie przynosi zupełnie nieoczekiwane skutki. Ale to zupełnie inna sprawa i nie to zafascynowało mnie w „Psach wojny". Cały precyzyjnie opracowany harmonogram przygotowań do zamachu w wyimaginowanej republice Zangaro opiera się na dwóch fundamentalnych podstawach: sprawności komunikacji i łączności. Cat Shannon podróżuje po Europie samolotem, koleją i statkiem. Kolację je w Londynie, śniadanie w Rzymie, obiad w Paryżu i następnego dnia znowu jest w swoim mieszkaniu w Londynie. Ma niewątpliwe szczęście, że żadnego samolotu, którymi tak często podróżuje, nie porwali terroryści, bo cały precyzyjny plan diabli by wzięli.

Powodzenie jego przedsięwzięć w dużej mierze zależy od sprawności funkcjonowania poczty w wielu krajach Europy Zachodniej. Posługuje się telefonem, telegrafem, dalekopisem, listami poleconymi i ekspresowymi i, o dziwo, wszystko na czas dociera do adresata i na czas przychodzi odpowiedź. Z poczty w Brugge na przykład Cat Shannon wysyła ekspresem listy z czekami w środku na wcale niebagatelną sumę: 4.800 dolarów i 7.200. I oczywiście oba czeki na czas docierają do adresatów.

Kiedym tak czytał „Psy wojny", wpadł mi do głowy perfidny pomysł. Oczywiście w naszym kraju najemny żołdak nie miałby nic do roboty, ale mógłby na przykład Frederick Forsyth wysłać na kilka dni do Zakopanego czy Sopotu Cata Shannona, żeby tam sobie trochę odpoczął i korzystając z usług naszej ukochanej poczty kilka spraw sobie na odległość pozałatwiał. Gdyby Frederick Forsyth wpadł na taki pomysł, to niestety planowany zamach w Zangaro nie mógłby się udać w przewidzianym terminie. Z tego prostego powodu, że nasza poczta nie przywiązuje nadmiernej wagi do terminowości i pracuje w sposób dość niefrasobliwy.

Mój przyjaciel, Tadzio S. żadnych brzydkich rzeczy nie planował, jest on bowiem człowiekiem spokojnym, zagrzebanym w książkach i ma naukowe aspiracje. Lubi poza tym kompot z gruszek. Toteż, kiedy był u rodziny w Pleszewie, dostał w prezencie 18 kg niedojrzałych gruszek. Ucieszył się bardzo, a że jest człowiekiem wygodnym, zamiast dźwigać, nie taki znów wielki ciężar, postanowił skorzystać z usług poczty. Gruszki zapakował, sznurkiem obwiązał, pieczęcie lakowe postawił i do urzędu pocztowego zaniósł. Upewnił się, że przesyłka z owocami zostanie szybko wysłana do Łodzi i następnego dnia spokojnie wsiadł do pociągu.

Minęły trzy dni, a gruszek nie było. Minął dzień czwarty i piąty, a gruszek ani śladu. Tadzio S. oczyma wyobraźni widział już, jak mu pracownik poczty przynosi ogromne pudło zgniłej mazi, z której w żaden sposób nie da się zrobić ulubionego kompotu. Ale nic z tego. Po tygodniu pojechał więc do Pleszewa, i tam zastał pisemko zawiadamiające, że gruszki zgniły i poczta wyrzuciła je na śmietnik. Wizja kompotu z gruszek była jednak tak silna, że Tadzio S. poszedł na pocztę w Pleszewie domagać się zwrotu ukochanych gruszek lub przynajmniej odszkodowania. I tam przekonał się, jak 18 kilo jego gruszek pozwoliło usprawnić poczcie swoją działalność. Poczta bowiem, zamiast przyśpieszyć ekspedycję paczek żywnościowych, przestała je w ogóle przyjmować. Proste, a jakże skuteczne działanie.

Gdyby więc w „Psach wojny" Frederick Forsyth wpadł na pomysł wysłania Cata Shannona do Polski na urlop, to napisałby oczywiście, że jego bohater z powodzeniem korzystał z usług naszej poczty. I napisałby nieprawdę. To i dobrze, że na taki pomysł nie wpadł.

MARCIN RODAK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96 kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł., kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2258. W-11.